Nr. 3. Lwów, dnia 1. Marca 1885. Rok VIII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

Przyczynek do historyi łowiectwa w Polsce

skreślił

C. J. Kochanowski.

(Ciąg dalszy.)

Wyłączne prawo polowania na bobry posiadali panujący aż do wieku XV., lubo już przedtem możnych przypuszczano do niego pod względem innej zwierzyny. Rozmaite nadania i przywileje z wieku XII. i XIII. uwalniają lub nakładają obowiązek pilnowania bobrów. Nadania prawa polowania na bobry tworzyły zawsze osobny ustęp w dokumentach donacyjnych, jak np. w nadaniu wsi „*Gostichovo conventui Paradisiensi*“ z r. 1236. Przemysław z powodu „*praeclaris meritis domini abbatis de Paradiso ordinis Cisterciensis*“, powiada, że „*qui castores stagnum vel locos ad ipsum spectantes ad praesens intraverunt, vel intraverint aliunde, ex nostra donatione habeant haereditario jure in perpetuum posidentes*“. — Mieczysław, książę Wielkopolski fundując klastor Cystersów w Lendzie r. 1145 uwalnia mieszkańców od obowiązku pilnowania bobrów i dawania podwód bobrowniczym. Bolesław Wysoki, książę Szląski zakładając klasztor w Lublinie r. 1178 nadaje prawo łowienia bobrów temu klasztorowi. Bulla Innocentego r. 1136, w której wyliczone są posiadłości arcybiskupa Gnieźnieńskiego, powiada: „*Item Loviehe* (Łowicz) *cum decimis, cum villis et earum incolis, cum venatione, cum castoribus.....*“ W nadaniu Bolesława Krzywoustego, którego Kronika nieprzyjacielem niedźwiedzi nazywa, Poznańskiej kapitule znajdujemy: „*Concedimus etiam et damus antefata Johanni et suis successoribus plenum arbitrium in praedicto Obra venandi castores a ponte civitatis in utraque ripa fluvii usque ad limites et terminos, qui dividunt villam sancti Adalberti a villa Goreece, volentes nihilo minus, ut nostri venatores castorum peraequam transeant limites nullas, inde facientes quaestionem*“. Mało posiadamy wspomnień historycznych o bobrach w Polsce. Już w wieku XII. zajmowano się ich hodowlą, jakoteż później. Znajdujemy urzędników bobrowniczych, *castorarii*, którzy hodowlą bobrów na wielką skalę się zajmowali. Hodowano je także w majątkach szlacheckich. W r. 1229 przedkłada Jaszko de Makow Konradowi, księciu Mazowieckiemu regestr bobrów, z którego się dowiadujemy, że bobrownie były starannie prowadzone, a stada dobrane tak, że w każdem był tylko jeden kolor. Za Pułtuskiem były *nigrici castores* w liczbie 251, z nich wybierano 10 na dwór książęcy, 50 na sprzedaż, reszta zaś pozostała *ad restantiam et prolicationem*. Donosi też Jaszko de Makow, że dostarczył bobrom drzewa klonowego, z czego *exhiemationem habebunt*, skarzy się na Maczka de Gołęczyn, że przez złość wyciął żywność bobrom (Czacki). Znajdowały

się bobry w znacznéj liczbie nad rzekami Litwy, Polesia, Krakowskiego Księstwa, Wołynia, Rusi, Mazowsza, Prus.

Za Ludwika Węgierskiego ustępują owe ciężary i podatki, które tak mocno szlachtę i wieśniaków przygniatały, mianowicie karmienie myśliwych, koni i psów, dostarczanie obławy i t. d. Od tego czasu przechodzi prawo polowania na możnych, a później i na szlachtę. Uwolnienie to od ciężarów jakoteż przyznanie prawa polowania, z wyjątkiem tylko puszcz leśnych niektórych, zawarowanych dla króla, nie wynikało z uznania uciążliwości, przygnębiających ziemian, ani też z uznania praw osobistych, lecz jedynie z widoków politycznych tego króla.

W dawnych nadaniach zastrzegali sobie też panujący prawa i powinności myśliwskie. Przywilej Ziemowita orzeka: „Strzelców mieszkańcy mają żywić i wezwane od nich *ad custodiam ferae agitandis*, *quae dicitur przelaya*, *ire tenebuntur*“. Niektórzy możni, nadając prawo polowania, zastrzegają sobie część czwartą (M. S. Gart. a. 1055), jak Mikołaj z Myszny, oddając łowy na zające, kuropatwy i bażanty. Bażanty były rzadkością łowiecką, sprowadzano je z Węgier, Czech, znajdowały się w Białowieskiej puszczy, gdzie je bardzo drapieżne ptactwo niszczyło. Znajdujemy o nich częste wzmianki w przywilejach XIII. i XIV. wieku. Niektóre nadania zastrzegały polowanie na grubego zwierza, inne tylko na tury. Przywilej z r. 1350 udziela prawa polowania na jelenie, sarny, „*magnis feris aliis praetermissis*“.

Podczas panowania Władysława Jagiełły miał polujący prawo zapędzać się za zwierzyną, znalezioną na swoim gruncie, na cudzą własność. Ztąd powstawały między szlachtą i poddanymi częste „*controversiae*“, ponieważ zabierano psy i ubitą zwierzynę. Postanowiono więc, „że kto zwierzynę *per canes alicujus agitatam aut vulneratam*, *vi seu per insidias*, przed psami innego wziąć nie sroma i sobie przywłaszczy, w takim razie za zwierzę albo za mięso trzy grzywny, a za winę drugie trzy grzywny onemu, czyj zwierz jest, zapłacić bydź powinien i przyciśnion“. Namiętność myśliwska owych czasów posuwała się do nadużyć, końmi i psami niszczono cudze zasiewy i tratowano je, więc dla zapobieżenia takiemu przestępstwu, jakoteż „*ne captis parentibus et ipsa proles intereat* (aby po zabiciu starych młode nie ginęły) (Helcel Ostrorog Monumentum: *de venationibus exercendis)*; zakazano od św. Wojciecha aż do zgromadzenia wszego żyta ozimego z pól (Helcel jak wyżej) „na imieniu inszego prócz woley jego łowić a gonić zająców aby nie śmiał, albo cierpiącemu szkodę, trzy grzywny przepaść za winę ma się widzieć, *et judicio totidem (tres marcas)*“.

Na cudzym gruncie nie wolno było polować ani też łowić ptaki i ryby bez zezwolenia właściciela. Dotyczyło to postanowienie szczególnie poddanych, którzy oddając się łowiectwu, o bliższych obowiązkach zapominali, „*praesertim vero coloni*, *qui propter venationes*, *aucupia et piscatura ordinarios labores negligere consueverunt*“. Właściciel gruntu mógł siecie, przybory myśliwskie, psy zchwytane zabrać jako swoją własność. Nie wolno było lisów w domu hodować czy to starych, czy młodych, kupować je lub sprzedawać, a u kogo znaleziono żywego lisa lub skórę z niego płacił kary trzy grzywny „*capitaneis locorum*“. Zakaz ten objaśnia Maciejowski (Pamiętniki. T. I. str. 352) w tych słowach: „Wszakże zbytkowi kmieci i mieszczan zapobieżono wkrótce dlatego, że im zbytkowne stroje nie przystoją, i że towary idą w górę z uszczerbkiem szlachty, która je z tego powodu drogo kupować musi.... W lisie futro powinni się byli ubierać mieszczanie, i ażeby takowych nie zabrakło w kraju, z tego powodu, jak rozumiem, zakazano wytępiać gniazda lisie“.

Rozmaite nadania wyjmują polowania z sokołami, jako wyłącznie tylko panującym przysługujące, również żubry i rysie. Na Litwie w nadaniach aż do Zygmunta Augusta dodawano lub wyłączano „łowy zwierzynne i ptaszne“.

Od XV. wieku, t. j. od Statutu Wartskiego, a raczej od XVI. wieku biorą początek ogólne prawa łowieckie. O Statucie Wartskim mówiłem już wyżej, winienem jeszcze dołączyć słów kilka o Statutach Litewskich. Nie wchodząc w ogólne ich znaczenie, dotknę tylko myśliwstwa. Artykuł pierwszy przyznaje prawo własności na własnym gruncie orzekając: Polujący w cudzym lesie bez pozwolenia właściciela zwierzę zabite odda i pieniężne winy zapłaci. Strzelec złapany przy zwierzu śmiercią karany będzie, jak złodziej. Drugi Statut ponowił tę karę, trzeci zaś znosi karę śmierci na strzelca, a natomiast naznacza sześć niedziel więzienia przytem dodaje, że rannego zwierza za cudzą granicą gonić nie wolno. Artykuł drugi naznacza karę pieniężną za żubra, łosia, konia dzikiego, jelenia, sarnę, sobola i t. d. Artykuł trzeci zabrania posiadania w cudzym lesie barci, sianożęci, zabierania ze sobą do lasu psów lub strzelby, którąby zwierza ubić mógł. Artykułem ósmym wzbroniono niszczenia gniazd sokolich, łabędzich, które ostatnie niezmiernie podówczas były cenione, lub też sieci ptaszych. Dziewiątym obowiązywało posiadających na cudzych gruntach gony bobrowe prawo, iż na odległość rzutu kijem od żeremia, nie można było podorywać pole lub korczować. Artykułem dziesiątym karano rozrzucającego przynęty ptasze, odganiającego ptaki lub łowiącego cudzemi sieciami. W Statucie drugim oznaczono większe kary na tych, którzyby przynęty ptasze dziegciem smarowali, kradli sieci lub przynęty czosnkiem nacierali. W Statucie trzecim dodano, że od święta, siódmej niedzieli po Wielkiejnocy aż do zebrania z pól zboża na cudzych gruntach polować nie wolno.

Za zabicie psa legawego oznaczona była kara, za wykopanie liszek 10 grzywien, a złowione należało na wolność wypuścić. U liszek chodziło głównie o ich futro. Strzelanie pod bokiem królewskim wzbronione było, pod karą gardła nie wolno było noże, kosy, żelazo, broń, strzały za granicę państwa wywozić. Export saletry był dozwolony, gdyż Zygmunt August daje w r. 1571 Mikołajowi Radziwiłłowi następującą odpowiedź: „W czasie wojny prosto nieprzyjaciela saletry nie wywozić, bo może z bliższości korzystać, zawsze jest wolno wprowadzić, bo saletra nie u nas tylko się robi, rozmnożeniem warów saletrzanych i dla naszych prochowniów łatwiej będzie dostać i pieniędze kraj weźmie. W czasie pokoju nie chcemy zakazywać“.

Statut Litewski nakazywał ochronę zwierzyny od niedzieli siódmej po Wielkiejnocy aż do zebrania z pól zboża. Nie wynikał ten nakaz z poczucia potrzeby ochrony zwierzyny i jej rozmnożenia, lecz ze względu na rolnictwo, które przez łowy w tej porze mogłoby być na szkodę narażone. Jan Ostrorog powiada w Pamiętnikach swoich: „Dla powszechnego użytku i wytchnienia ciała nie polować na zwierza stołowego w czasie kiedy się płodzi. Trzeba zatem zabronić łowów tak za pomocą sieci, jak sideł lub narzędzi łowieckich, aby nikt nie ważył się w jakibądź sposób po-

lować na zające lub inną zwierzynę od św. Wojciecha aż do uroczystości św. Jana Chrzciciela, dla większego tych zwierząt rozmnożenia, iżby przez wyłowienie starych nie ginęła młódź". Lecz był to głos praktyka, podczas gdy ustawodawstwo inaczej tę rzecz widziało.

Na wilki wolno było polować na cudzym gruncie, byle nie tratować zboża, lecz i tu miano głównie na względzie ochronę zwierząt domowych.

Przestępstwa łowieckie sądzili kasztelanowie i starostowie na podstawie prawa królewskiego lub grodzkiego, dziedzice na podstawie prawa ziemskiego.

W r. 1775 za panowania smutnej pamięci Stanisława Augusta ogłoszone zostało ostatnie prawo myśliwskie. Odtąd rozebrane części Rzptej podlegały prawu trzech Państw, jak np. Galicya patentowi ces. z r. 1789. Prawem z r. 1775 określono ściśle granice łowów, przyznano prawo własności polowania na własnych gruntach, „kto zaś na cudzym gruncie łowi, traci psa, strzelbę, wszelki sprzęt i tysiąc grzywien płaci". Zranionego zwierza nie można było na cudzym gruncie ścigać, psy tylko wolno było odwołać. W celu ochrony zwierza postanowiono, iż nawet posiadający prawo polowania mógł łowić zwierza czworonożnego, kuropatwy i bekasy tylko w tydzień po św. Bartłomieju aż do końca Marca. „Kto na cudzym gruncie bez pozwolenia dziedzica na trzy mile od Warszawy łowi, w której odległości służy prawo królowi, ten w sądach potocznych Warszawskich odpowiada". Nie obowiązywało jednak to prawo co do wilka i lisa.

IV.

Takie były u nas w Polsce prawa myśliwskie, takie ich tłómaczenie. Przejdźmy obecnie do różnorodnych rodzajów polowania, zwyczajów myśliwskich i t. d. Zamiarem moim było dać czytelnikom ile możności wykończony obraz rozwoju dziejowego łowiectwa w Polsce, ale i czasu mi brakło do zebrania dostatecznego materyału, i same badanie niezmiernie trudne. Źródła do takiej pracy porozrzucane po najrozmaitszych dziełach, nieraz znachodziłem w najobojętniejszej dla spraw myśliwskich książce najcenniejsze wskazówki, trzebaby oddać się tej pracy wyłącznie, jedynie poszukiwaniu, wertowaniu druków i rękopism, aby zestawić całość zbliżoną do zupełności. Zawód mój na to nie pozwala, więc ograniczyłem się tylko na oderwanych niemal zapiskach, dając im skromny tytuł „Przyczynków". Więc łaskawy czytelnik raczy uwzględnić je, a będę zadowolony, gdy ta niedostateczna, a jednak nader mozolna praca moja pobudzi do głębszych badań tego rozległego, a nader ważnego przedmiotu, gdy wytrawniejsze pióro, idąc moim śladem, rozedrze zasłonę, okrywające tajniki naszego myśliwstwa.

Czytając opisy dawnych wypraw łowieckich, zadziwia nas ich wystawność, liczba strzelców i gońców, nieraz do kilku tysięcy sięgająca, mnogość przyrządów myśliwskich i t. d. Zdawałoby się, że je bujna piszącego wymarzyła fantazya, a jednak opisy owe polegają na istotnej prawdzie. Wyciągającemu na łowy księciu lub możnemu panu towarzyszyło liczne grono dworzan, wiedziono mnóstwo różnorodnych psów, sokolnicy unosili na berłach sokoły, na wozach szły siecie, któremi nieraz całe okolice otaczano. Z wsi ściągano licznych gońców, a wiemy już, że wsie „Łowcze", obowiązane były do takich powinności, więc też one głównie dostarczały gońców. Łowy odbywały się w ciągu kilku albo kilkunastu dni. Jak długo prawo łowieckie przysłużało tylko panującym, obowiązani byli ziemianie i szlachta hodować gońców i psy, a gdy później powinności te usunięto, prowadzono tabory ludzi, którzy przygotowaniem strawy się zajmowali. Taki orszak łowiecki podobny był raczej do pochodu wojennego, toż słusznie dawni pisarze uważali łowiectwo jako szkołę i naukę rycerskiego zawodu. Minęły niepowrotnie owe czasy, kiedy niewytrzebione jeszcze na użytek rolnictwa, przemysłu i handlu, puszcze leśne rozbrzmiewały wrzawą mnogich łowców, setek gończów i liczną złają psów. Pozostały z owych czasów tylko zapiski, budzące podziw, rozgrzewające fantazyę. Pierwotnie król dowolnie rozporządzał w celach myśliwskich swymi poddanymi, następnie przeszło to prawo na możnowładców niby udzielni władcy siedzących na swych rozległych dobrach, bez ograniczenia dzierzących moc nad poddanymi i liczną szlachecką klientelą. Książę lub pan licznych włości mieli psiarnie, sokolarnie, mnogi zastęp myśliwych, bogaty aparat łowiecki i wcale nie troszczyli się o należyte ich utrzymanie.

Nie trudno było wówczas urządzać łowy tak wspaniałe. Liczne i gęste bory, pokrywające szeroko ziemie polskie, dawały schronienie różnym gatunkom zwierza. Żyły w nich niedźwiedzie, wilki, lisy, dziki, rosomaki, koziorożce, kozice, suhaki, kuny, łosie, jelenie, sarny, żubry i tury, zające; w górzystych a lesistych okolicach liczne kuraki, na błotach i wodach krocie tysięcy różnorodnego ptactwa. Na stepach Ukrainy przebywał suhak, który dziś do Azyi się schronił. Były kozice, które dziś w Tatrach ustawa bierze w opiekę. Przebywały w lasach wiewiórki, których skórki ważnym były artykułem przemiennym w handlu, opłacano niemi podatek i kary. Również kun używano w handlu i obrocie pieniężnym. Grzywna równała się 20 kunom, 60 „rezanom" i 120 łapkom, a kawałki futer tego gatunku używane były w handlu przemiennym. „Sztuczkami siekanego złota i srebra, także skórkami kuniemi, bieliczemi, lisiemi i innego zwierzęcia tak Polacy, jak Rusacy, Litwa, Mazurowie zwykli kupie swoje odprawować" (Stryjkowski). Miastom nadawano przywilej składu skórek wiewiórczych, np. miastu Skarzeszów za Bolesława Wstydliwego. Skórki popielicze jako pieniądz usunięte zostały przez Wacława, który grosze czeskie do Polski wprowadził (Marcin Bielski). Łasice jako opłata należały wojewodom i kasztelanom, kuny sędziom, lisy podsędkom, podkomorzym po sześć grzywien (Helcel).

Na Wołyniu polowano przeważnie na cietrzewie, przepiórki; w Małopolsce na głuszcze, kuropatwy, pardwy; w Prusiech i Litwie na sokoły i rarogi; u Kaszubów na ptactwo wodne; na Podgórzu na orły.

Jako broni używano łuków, kusz, maczugi, oszczepów, nożów i rohatyn. Oszczep myśliwski na 10 do 18 stóp długi składał się z części drewnianej, skórą pokrytej i z obosiecznego, ostrozakończonego żelaza, oddzielonego od drzewca dwoma hakami, aby ostrze zbyt głęboko w ciało zwierzęcia nie wnikało. Biorąc oszczepem zwierza przyklękał myśliwy na jedno kolano, stojąc zaś brał niedźwiedzia. Dwa były rodzaje oszczepów, dłuższy i krótszy, pierwszy na 3 sążni, drugi na 2, jednakowej grubości. Niektóre z nich, szczególnie krótsze, miały łoża. Wyrabiano je przeważnie z drzewa cisowego. Już za czasów Jagiełły okazał się brak tego drzewa do wyrabiania tej broni myśliwskiej i wojennej. Tarcze sporządzano z kory lipowej, dla trwałości obciąganej skórą. Do walki z niedźwiedziem wkładano

na głowę siatkę żelazną. Do łuków dodawano pióra orle (Cygański), gęsie (Crescentyn). Łoże u łuków zwano „grusztem“.

Lasy litewskie słynęły szczególnie z wielkiej mnogości zwierza, najwspanialsze też tam odbywano łowy. Przed kilku laty jeszcze donosiły gazety, że ubito tam rosomaka. Królowie polscy, zwykle namiętni myśliwi, wyprawiali się często w bory litewskie, by tam sobie „dać ducha“. Szczególnie stało się to zwyczajem od czasu, gdy Jagiellonowie osiedli na osieroconym po Piastach tronie. Wielko- i Małopolska były bardziej zaludnione, więc tu rozrastały się miasta, rozwijał się handel i przemysł, uprawiano głównie rolnictwo, ustępowały przeto lasy w miarę rozmnażającej się ludności i cywilizacyi, podczas gdy bory litewskie nietknięte były prawie siekierą pracowitego rolnika i tylko gdzieniegdzie świecił „przerąb“.

Pośród Jagiellonów odznacza się rycerska postać małżonka Jadwigi, którego namiętnością było myśliwstwo. Z takim zapałem oddawał się on łowom, że jeszcze jako 75-letni starzec brał w nich udział, i w tym wieku polując na niedźwiedzia w puszczy Białowieskiej złamał nogę. Dobrotliwy i pobłażliwy z natury nie umiał przebaczać w przekroczeniach łowieckich, zasłużonych zaś i wytrwałych towarzyszów w trudach myśliwskich obdarzał hojnie, czem ściągał na siebie częste sarkania niemyśliwych. Po każdych łowach zimowych obdarowywał możnych i niemożnych solonymi upominkami ubitej zwierzyny. W czasach wojny wyprawiał się w lasy celem przygotowania mięsiwa dla wojska, wtedy padały mnogie łosie, jelenie, a nawet żubry. Roku 1410 poluje Jagiełło na żubry „*zubrinas cepit*“ — jak Długosz mówi — by przygotować mięso solone na wyprawę przeciw Krzyżakom. Przez całą zimę przed pamiętną bitwą pod Grunwaldem i Tannenbergiem, poluje Władysław w różnych stronach Polski, jak w puszczy Białowieskiej, Sandomierskiej i t. d., łącząc w ten sposób *dulce cum utili*. Niemniej często i po tej bitwie poluje Jagiełło, jak np. u siostry Alexandry, małżonki Ziemowita Mazowieckiego, odbywając „*venationes tantorum silvestrium*, *qui in polonico Thuri apellantur*“ (Długosz). W r. 1418 Władysław na łowach w puszczy Wigerskiej omal przez Krzyżaków nie został schwytanym („Dzieje korony“).

Litwa była prawdziwem Eldoradem dla przejętych myśliwską namiętnością Jagiellonów. Miłośnik łowów Kazimirz rad częściej w Litwie niż w Polsce przebywał, bo, jak powiada „Kronika Litewska“ T. Narbutta: „w Litwie welmi rozkosznych łowów rozmaitych zwierzów mnoho, we wsiakich państwach takeho zweru net“. Tu przebywał on najczęściej w Horodnie, zkąd rozpuszczał w bogate w wszelką zwierzynę okolice, swoje myśliwskie zagony, a rozchorowawszy się w Wilnie, kazał się zawieźć do tej miejscowości, gdzie też życia dokonał.

Zygmunt I. często też zabawiał się łowami. W r. 1533 wydarzył się na jednem z takich polowań wypadek, który zgubne skutki za sobą pociągnął. Urządził był król łowy na niedźwiedzia, którego z Litwy sprowadził i w umyślnym w tym celu gaju pod Krakowem osadził. Niedźwiedź goniony przez psy, rozjuszony poranił ze 100 naganiaczy, jakoteż kilku dworzan. Królowa Bona w ucieczce przed nim, gdy koń się potknął, spadła na ziemię i poroniła przed czasem dziecię męskiej płci, które w Niepołomicach pochowano. Był na tem polowaniu także błazen królewski, Stańczyk, który również w ogólnej ucieczce przed rozjuszonym niedźwiedziem, powalił się wraz z koniem na ziemię. Król Zygmut szydził z niego i z jego ucieczki, powiadając, że „sobie nie jako rycerz, ale jako błazen postąpił“, na co Stańczyk odrzekł: „Większyć to błazen, co mając niedźwiedzia w skrzyni, puszcza go na swą szkodę“.

W puszczy Białowieskiej był zwierzyniec królewski, czyli „wielka klitnia“. Był to ogromny ostęp, zarosły dębami, otoczony parkanem i płotami. Tam spędzano zwierzęta, które królowie z przyrządzonych w tym celu altan zabijali.

Zygmunt August był także wielkim miłośnikiem łowów i bardzo często jeszcze jako W. książę Litewski odbywał je w litewskich borach. Kroniki dają o nich niejedną wiadomość, np. 27. Sierpnia 1543 w Grodnie, od 15. do 25. Stycznia 1544 w Szeszupie, 3. Lutego 1544 w Olkienikach i Brześciu, gdzie bawił 13 dni (Lityński) i znaczne sumy na myśliwstwo łożył. Wpływ zachodni niemiecki, znaczący się w ogóle w urządzeniach Polski, cechował się też w zakresie myśliwstwa najwyraźniej, gdyż między dygnitarzami łowieckimi dworu, między othokowczami, obławnikami itp. byli też jegermistrze, których zapiski dziejowe na przedniejszych miejscach stawiają.

Tak więc Jagiellonowie wszyscy gorąco zajmowali się łowiectwem, i można o nich sprawiedliwie powiedzieć, że życie swe poświęcali rządom i łowom. Dynastya ta wiodąc nieustanne boje z Tatarami, książętami ruskimi i najgłówniejszym swym wrogiem teutońskiem krzyżactwem, uważała łowiectwo jako szkołę wojenną, aby w niem krzepić ducha i wzmacniać ciało do krwawych na polu walki zapasów.

Litwa, jako kraj równy, bogatą była w lasy i moczary, Małopolska przeważnie lesistą, „jeziorzysta Wielkopolska tonęła w wodach“, Ukraina i Ruś słynęły jako kraje stepowe, gdzie obok licznych stad koni przebywał wilk, lis, drop i inne ptactwo. Łowami na Zaporożu zajmowała się osobna klasa kozaków, zwanych „Lisicznikami“. Mieli oni swego atamana i osobny kureń. Jak mówiono na Zaporożu „lisili się“ cały rok, łowiąc w lasach i stepach lisy, zające, wilki i jelenie, które ostatnie aż do r. 1760 w tamtejszych lasach przebywały (Gliszczyński. „Wewnętrzne życie Zaporoża“).

Odpowiednio do rozmaitych właściwości powyższych części Polski, różny zwierz w nich się znajdował. Polowano wszędzie namiętnie. Któż tam nie był mysliwym? Biskupi z kazalnic podnosili pożyteczność uciech myśliwskich, uciekano z roli kmiecej w służbę łowiecką. Nawet najwyższe duchowieństwo zajmowało się myśliwstwem, i nikt się tem nie gorszył, gdy biskup zaciekle polował. W nadaniach książąt Mazowieckich, potwierdzonych bullą papieża Grzegorza w r. 1232, zastrzeżono, że duchowni w swych dobrach mogą polować tylko na sarny, zające, lisy i wiewiórki. Zapał myśliwski wzmógł się w owych czasach do tego stopnia, że Gwidon, kardynał i legat papieski zmuszonym był w r. 1267 ogłosić zakaz, wzbraniający duchownym polować z psami i ptakami myśliwskimi. Mimo zakazu jednak polowało duchowieństwo.

Dzielny myśliwy żywił swój dom ubitą zwierzyną. Dziczyznę wędzono, solono i na zapas chowano. Bieda to tam była, gdzie pan wołu dla domu zarzynać był zmuszony, „bo łosia dostać nie mógł“. Jak król w darze wysyłał możnym panom ubitą zwierzynę, tak też szlachta obdarzała się nią nawzajem. Oprócz mięsa dostarczały zwie-

rzęta potrzebnych w gospodarstwie przedmiotów, skór, rogów na puhary i ozdobienie izb łowieckich i t. d. Izba obwieszana bywała rogami, łbami rozmaitych zwierząt, na rogach spoczywały: wierna towarzyszka szerpentyna i przybory różne myśliwskie.

W owych czasach, gdy świat uczony łamał sobie głowy nad wynalezieniem kamienia mądrości i elixyru życia, w owym wieku XVII., wieku zabobonów i czarów, nie mało też zwierzęta dostarczały środków, szczególnie lekarskich. Głowa psia i lisia miała usuwać febrę; szpiku z goleni jelenia używano do wzmocnienia nóg; kopyta łosia z prawej tylnej nogi przeciw febrze i innym wewnętrznym dolegliwościom; rogów żubrzych jako antidotum przeciw truciznie. Kał zwierzęcy uważano jako jadowity, łajno sarnie zażyte w proszku z winem goiło wyrzuty na głowie, zmięszane z sadłem wieprzowem służyło przeciw podagrze i bolowi w kościach; żółć niedźwiedzia skuteczną była dla paralityków, oczy jego, zawieszone na lewem ramieniu na febrę, sadło przeciw puchlinie, mózg zażyty przez człowieka sprowadzał szaleństwo. Zęby dzika sproszkowane i z makiem polnem zmięszane, służyły na kolki, łajno przeciw krwiotokom, mocz przeciw kamieniowi pęcherza. Ogon wilka, zakopany obok obory, odstraszał inne wilki, tłuszcz lisa uśmierzał szum w uszach, płuca jego goiły wrzody płucne i kaszel. Pas ze skóry żubrzej ułatwiał poród kobiecie. Cennym zbiorem tych wszystkich mniemanych leków jest Haura Oekonomika ziemiańska.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

„POINTER“.

Naszkicował

Alexander Reichard Reichardsperg.

Dziś, gdy zwierzostan dzięki ustawom odpowiednim zaczyna się podnosić w kraju naszym i stanowi istotną część bogactwa jego, gdy łowiectwo nie jest już tylko celem chwilowej rozrywki, lecz oparte na nauce stało się umiejętnością, a oddanie tegoż w ręce ludzi inteligentnych i fachowo wykształconych daje zupełną rękojmię, że na stopniu tym i nadal się utrzyma; w obecnej chwili, powtarzam, trudno sobie wytłómaczyć brak zainteresowania się w praktyce jedną z gałęzi tej umiejętności, t. j. łowieniem zwierzyny lotnej, jej hodowaniem i pielęgnowaniem, a co za sobą pociąga, brak prawie zupełny dobrych i rasowych gniazd psów.

Za słabe moje pióro i za rozległy temat, ażebym w niniejszej rozprawce przedstawić mógł przynajmniej zarysy główniejsze, dotyczące tego przedmiotu, w przyszłości, gdy szan. Czytelnicy przyjmą niniejszą pracę łaskawie, może wrócę do tego miłego mi tematu, dzisiaj pragnę tylko opisać jedną z licznych ras psów legawych, w obecnym czasie najwięcej używaną, t. j. rasę angielską „Pointer“. Pies bowiem przy łowach na lotną zwierzynę, to prawa ręka myśliwego, jego chluba i wierny towarzysz doli i niedoli. Wybrałem dlatego tę rasę, ponieważ w kraju naszym gdzieniegdzie tylko spotkać się można z prawdziwym jej przedstawicielem, niestety przeważnie za granicą nabytym, a ladajakiego bastarda godnego raczej budy i łańcucha, zaszczycają mianem tej szlachetnej rasy.

Już na pierwszy rzut oka rasę tę rozpoznać można tak z budowy, jakoteż z sposobu pracy. Pointer posiada głowę wielką stosunkowo, bardzo szeroką między uszami, przednia część jej silnie jest rozwiniętą, wyniosłą i przedzieloną w środku wklęśnięciem. Trąba nosowa bardzo długa, linja jej równoległą jest do linii wzdłuż czaszki poprowadzonej, lecz biegnie około 1·5 cm. niżej. Nos szeroki i czworograniasty, nigdy szpiczasty, nieco tylko do góry wzniesiony, silnie jest rozwinięty i przeważnie pokryty jasną błoną szluzową. Oczy wielkie z wyrazem inteligencyi i bystrości, posiadają barwę odpowiednią ubarwieniu włosa, jaśniejszą lub ciemniejszą. Szczęki długie z szerokiemi lecz nie obwisłemi wargami, a skóra na gardle nie powinna tworzyć znacznych zmarszczek. Uszy długie, miękkie i cienkie głęboko osadzone, leżą gładko na policzkach i są kształtu mniejwięcej trójkątnego. Szyja zgięta, grzbiet długi i bardzo muszkularny, a tył nieco niższy od przodu. Klatka piersiowa nie powinna być zbieżystą, lecz też nie za szeroką, lędźwie i biodra szerokie i wypukłe, żebra długie nie wiele od bioder oddalone. Łapy krótkie o silnych kościach, muszkularne, silne proste kolano, pięta mało wygięta z zaokrągloną stopą, pokrytą zrogowaciałym naskórkiem. Ogon przy osadzie silny i gruby nagle się zcieńcza, pokryty bardzo krótkim włosem, a pies nosi go bez żadnego zgięcia w przedłużeniu linii grzbietowej. Włos krótki, miękki, niezbyt cieńki, barwy żółtej, żółto-brunatnej, pomieszanej z białemi płatami lub bez nich, rzadziej barwy czarnej. Oto wszystko, co zewnętrznie charakteryzuje „Pointera“. Postać cała wysmukła zdaje się być delikatną, muszkularną jest jednak i silną. Pięknym go nazwać nie można, psy niemieckie bez wątpienia w tym względzie go przewyższają.

Teraz szan. czytelniku pofatyguj się ze mną w pole, na rozległych ścierniskach, łanach kartofli może jeszcze jakie biedne stadko kuropatw znajdziemy. Dałeś się uprosić, więc po krótkim pochodzie jesteśmy na miejscu. Pies ów, na tradycyjną przygrywkę, wychodzącą z tak pojedyńczego instrumentu jak usta, przejmuje się życiem i zapałem, a oczy płomieniem ognia, więc też rusza on od nóg twych galopem i dalekie od razu bierze pole. Jeżeliś nie używał Pointera, przeczuwam, co myślisz o posiadaczu psa i o psie samym, pierwszego pożegnać byś pragnął, drugiemu z zadowoleniem zaaplikowałbyś nabój śrótu lub co najmniej potężne cięgi. Tak jest, ten który ci przyjemność obiecywał, widocznie miał cię za fryca, a wychwalany Pointer, ta perła, jak twierdził właściciel, niechybnie zepsuje całe polowanie. To waryat, trudno powiedzieć, że szuka, ugania w koło jak wyścigowiec, ogonem nawet nie ruszy, nos wzniósłszy do góry zdaje się nie wietrzyć, a przytem na myśliwych wcale niezważa. Niezadowolenie odbija się na twej twarzy, a jako znak jego wymowny i re-

zygnacyi, spuszczasz kurki i zawieszasz strzelbę na ramieniu. Możesz ją nawet w futerał włożyć i zamknąć na kluczyk, którego prędko odszukać nie zdołasz, do odszukania go, złożenia strzelby i jej nabicia dosyć czasu mieć będziesz. Wzrok twój znużony pada na pędzącego w dali jak wicher Pointera, lecz o dziwo, pewnie kurcz go pochwycił, nagle staje jak przykuty do ziemi, łapę do góry podniósł, wygięty w łuk w najkomiczniejszej pozie. Nie łaskawy towarzyszu, to nie kurcz chwilowy, on „stoi“. Chcesz spieszyć, gorączka cię ogarnia, odstęp od psa daleki, dlaczegoż ów waryat nie skoczył w środek stada, które zapewne o kroków parę przed nosem zobaczył. Zatrzymuję cię, kroczymy spokojnie w to miejsce, pies się ogląda, ty w duchu złorzeczysz mej powolności. Wreszcie stajemy u celu, pobudzony pies posuwa się dalej 10 kroków, 20, już nadzieja twa słabnie, jeszcze 10 kroków, a Pointer jak struna wyciągnięty, z ognikami w oczach wytężonych, z ogonem w jednéj linii z grzbietem, już dalej posuwać się nie chce. Postępujemy krok przed psa i dobrze ci znany głos podnoszącego się stada kuropatw elektryzuje cię, błogie uczucie sprawiając, podnosisz broń do twarzy i trupy dwa spadające są nagrodą twej cierpliwości. Zadowoliłeś twą namiętność, patrz teraz, szanowny towarzyszu, na psa, stoi przy nodze pana swego, a dreszcz gorączki przebiega ciało jego. Chciałby skoczyć, lecz nie czyni tego, bo wie, że nie powinien, dopiero za zezwoleniem jednym skokiem dopada ofiary i składa ją u nóg swego chlebodawcy, nauczyciela i przyjaciela. Czyż nie rozkosz dla myśliwego polować z psem takim? Pointer przeważnie szuka w galopie, jest niestrudzonym, rzeczywistym klejnotem się staje na równinach, pokrytych obszernymi łanami hreczki, kartofli, na ścierni lub na łące, gdzie go z łatwością okiem śledzić można. Bez porównania więcej przeszukać można z nim, jak z psem innej rasy, pracując wietrzy, obiega rączo linje kołowe lub wężowe, a właściwość tę jego przyrodzoną nie podobna mu odjąć nawet najsroższemi karami, użyciem linewki lub korali. Stoi wzorowo i wytrzymuje długo, nie ma obawy, by spłoszył zwierzynę. Wiatr posiada znakomity, a innym być nie może przy tak szybkiem szukaniu. Z natury Pointer jest roztropny i pojętny, jednakże wrażliwy bardzo na kary, dlatego dresura jego musi być łagodną i wyrozumiałą, i źle czynią ci, którzy ją rozpoczynają od harapa. Postępowanie takie, zwłaszcza w porze niewłaściwej, zrazi psa zupełnie, wprawdzie będzie on szedł za swym panem, lecz za każdem jego poruszeniem silniejszem stanie lub trwożliwie się cofnie. Ominąłbym zakreślone granice tej rozprawki, gdybym chciał podać metodę dresowania Pointera, metod tych jest tak wiele prawie, ilu piszących o tym przedmiocie. Szanowny czytelnik rozczytując się w licznych o tym temacie pismach, sam wybór zrobi; powiem tylko, że pragnąc psa odpowiednio ułożyć, potrzeba przedtem dokładnie poznać jego naturę, przyrodzone właściwości, odziedziczone po rasie, z jakiej pochodzi, również indywidualne usposobienie, i według tych wskazówek użyć tej lub innej metody. Pointer przywiązuje się do swego pana bardzo silnie, jest jednak więcej egoistą, jak psy legawe ras innych, a szczególnie niemieckie, posiada mniej łagodności i dobroduszności, obcą rękę pieszczącą go często nagrodzi jeżeli nie ukąszeniem to przynajmniej głośnemi oznakami niezadowolenia. Suki, jak u wszystkich psów, są łagodniejsze i powolniejszego nieco temperamentu.

Pointer pochodzi z Anglii, a chociaż już zaaklimatyzował się u nas, wrażliwy jest na zmiany atmosferyczne, potrzebuje lepszej żywności i opieki, w braku tych często zapada na zdrowiu, a nosacizna dziesiątkuje go. Posiadam Pointera, który roku zeszłego zapadł na nosaciznę, bardzo groźny rozwój przybierającą, ale pigułki Hostońskiego uzdrowiły go zupełnie. Główna arena Pointera jest pole suche, na zająca brać go nie należy, gdyż niechętnie albo wcale go nie apportuje, i polowanie to nie jest jego przeznaczeniem. Mokre pole również nie kwalifikuje się dla niego, kszyk lub dubelt zdają się mało go zajmować, zmuszony jest wolno chodzić lub co najwięcej kłusem, co nuży go więcej niż bujanie po równych i suchych łanach.

MYŚLIWI ZIEMI SANOCKIEJ.

PRZEZ

ALEXANDRA UBYSZA.

(Ciąg dalszy.)

Przed laty mieszkając w Krywem, wsi niedaleko Beskidu położonej, miałem sposobność dowiedzieć się, że tam, a osobliwie na górach, zwanych „Magórą“, tworzących osobny łańcuch, jako odnogę Beskidów, niedźwiedź wcale nie był rzadkim. Osobliwie w Lipcu, kiedy owsy na polankach dostarczają mu łakoci w wysysaniu mleczka z ziarn jeszcze niedojrzałych. W Krywem był gazda Pawło Wajda, słynny w swej młodości z niezwykłej siły i wytrwałości w chodzeniu po górach. Dwa korce owsa w jednym worze niósł bez wytchnienia na szczyt stromego Otrytu. Niemniej słynął on jako zręczny woźnica, piątką powożąc z konia śród najciemniejszej nocy, po przepaścistych drogach nigdy przez lat 20 nie przewrócił dużego, staroświeckiego landa, którem państwo L. jeździli. Paweł Wajda opowiadał mi takie zdarzenie. „Miałem owies zasiany na „płazowinie“ (polanka wśród lasu) pod Jaworem na szczytach Magóry, u nas niedźwiedzie się nie wywodzą, zachodzą jednak czasem, otóż zjawiła się niedźwiedzica z dwoma piastunami, już dosyć sporymi. Zanim owsy się wysypały i poszły w mleczko, robiła stara niedźwiedzica wiele szkody, nie było dnia, żeby nie porwała kozy lub owcy. Szałas wypadł owego roku na dziale Magórczańskim, owce i kozy pasły się między jałowcami albo w rzadkim lesie. Tam wśród białego dnia pomimo juhasów i psów owczarskich, niedźwiedzica niemal codzień wypadłszy z lasu brała po sztuce i unosiła w głęboki las. Niedźwiedź unosi łup nie wilczym sposobem w paszczy, zarzuciwszy owcę

lub kozę na grzbiet, Batko inaczej to robi, spiąwszy się „dęba“, chwyciwszy w przednie łapy sarnę, kozę, owcę, a nawet małego górskiego konika, którego mięso szczególnie mu smakuje, na zadnich łapach rusza w las, „typulając“ czyli chybotając się w chodzie jak człowiek bardzo otyły. Bywało juhasy chcą odbić porwany dobytek, szczują psami, ale te nie ważą się bliżej do niej przystąpić, a ludzi odstraszała groźnem mruczeniem, szczerząc swe wielkie białe zęby“. Niedźwiedź staje na zadnich łapach unosząc zdobycz lub w własnej obronie. Gdy pogoń zwłaszcza ludzi zbyt bliska, kładzie mysio łup swój na ziemi, poczyna groźnie ryczeć i walić łapą w łapę, że aż, jak lud mówi „łuskot chodyt po lisi“. Górale sanoccy utrzymują, że niedźwiedzie tem klaskaniem wabić się zwykły wzajemnie, samiec samicę, niedźwiedzica piastuny, gdy gżąc się zbyt odeszły od gniazdowej pieczary. Czy to twierdzenie jest słuszne, nie wiem, nie widziałem bowiem niedźwiedzi w tych dwóch chwilach ich życia. Dwa razy widziałem niedźwiedzie broniące się i klaskające w przednie łapy. „Owa niedźwiedzica — mówił dalej Wajda — wielką czyniła szkodę w trzodach, a nie było komu ją zabić, pan Łążyński już nieżył, Proć Baga „co go pan wie“, gdzieś się powlókł po zwyczaju, a w całej wsi u nas, nawet w Tworylnem, nie było strzelby. Później poczęli „kosmacze“ wysysać i wytłumiać owsy, a najbardziej mój owies pod Jaworem, więc myślę sobie, pójdę go „oganiać“. Jednej, drugiej nocy nie wyszły niedźwiedzie, dopiero na trzecią noc zaraz z wieczora, ledwom usiadł pod bukiem, poczęła moja sobaka szczurzyć uszy, skomlić z cicha, i z najeżoną szerścią tulić się do mnie. Za chwilę z przeciwnej strony płazowiny, od strony potoka, wyszła niedźwiedzica z dwoma piastunami, wlazły w owies i poczęły mlaskać i cyckać mój owies. Myślę sobie, co robić, sam niedam rady, sobaka nie wiele pomoże, znać się boi, a tu niedźwiedzie cyckają i cyckają, stara osobno i piastuny osobno, więc dumam, a nuż nizom (chyłkiem) podkradnę się pod „bastruka“ (po rusku piastuna) i poczęstuję go dobrze toporem. Więc lezę cichuteńko, podkradam się pod same niedźwiedzie, dość jeszcze było widno, starą widzę, młodych nie, zakrył je owies. Sobaka równie cicho idzie za mną, tak dostałem się aż do bastruka, widzę go, jak siedzi na zadzie tyłem do mnie obrócony, podnoszę siekierę i „gwizdam go ostrzem w sam grzbiet kosmaty. Jak nie zajęczy! Niedźwiedzica usłyszawszy ten głos przypada ku niemu, a on jęczy, zwietrzyła krew i mnie zapewne, bo zaczęła nosem narabiać, wreszcie zobaczyła mnie, zwiedła się na zadnie nogi, kroczy naprzód, zaplątała się w owsie i utknęła na moje szczęście. Nim się podniosła, ja ją tymczasem gwiznąłem toporem po boku, a sam w nogi, niedźwiedzica za mną, już mnie miała dogonić, wtem zwróciła się w tył do sobaki, która ją pewnie targnęła. Co niedźwiedzica ruszy naprzód, sobaka ją chap, wreszcie niedźwiedzica chwyciła sobakę, która żałośnie zaskomliła. Żal mi się jej zrobiło, więc podbiegam do Maruchy i ciup, ciup po krzyżach. Porzuciła sobakę, staje na zadnie i dalej do mnie, a ja jak lunę pomiędzy uszy, przewróciła się, poprawiłem to ostrzem, to obuchem i zabiłem starą. Bastruki później juhasy pobili. Sobaka zaraz zginęła, ażem spłakał za nią“.

Góral od dzieciństwa przywykł do widoku dzika, rysia lub niedźwiedzia. Ileż to razy dzieci obierając jerzyny, maliny, borówki, poziomki (sunyci) oko w oko spotykają się z kosmaczem niedźwiedziem, który jagód wszelkiego rodzaju jest wielkim miłośnikiem. Dzieci wcale się go nie lękają, wiedzą bowiem, że nie podrażniony nie zaczepi człowieka, co najwięcej mruczeniem objawi niezadowolenie. W jesieni podczas grzybobrania, stykają się też ludzie często z dzikiem lub niedźwiedziem, żywią się oni w braku innego żeru różnymi grzybami, prócz muchomora. Dzik choćby największy, niepostrzelony, nie drażniony przez psy, uchodzi nawet przed dzieckiem, toż dzieci skoro go zoczą, choćby odyńca, poczynają krzyczeć, a ów postrach psów, nawet drążkowych, fukając szybko pomyka w gąszcz. Ryś lub żbik, tak straszny dla wszelkiej słabszej zwierzyny, nigdy nie atakuje człowieka, napotkany co tchu umyka i kryje się, śledząc swem bystrem okiem wszelkie ruchy człowieka. Często się zdarza, że dzieci lub starsi górale spotykają rysia (kucyj kit) lub żbika (dykij kit), nie mając innej broni prócz siekiery, rzucą ją zręcznie w zwierza, o czem niżej wspomnę, lub stojąc pod drzewem, na które się schronił, trzymają go w oblężeniu choćby dobę całą, używając do tego czarów. Drzewo, na którem skrył się ryś lub żbik, obchodzi człowiek trzy razy, zawieszając na gałęzi lub pniu „czuchonię“ (bundę), kapelusz, lub jak to czynią huculi „dziobnię“ (torbę skórzaną lub tkaną z wełnianej farbowanej przędzy) i rusza ku domowi po strzelbę, poczem strzałem ubija zwierzę, które nie opuści drzewa, zwłaszcza gdy ono odosobnione, w przeciwnym razie skacząc z drzewa na drzewo uchodzi. W rzucaniu toporkami słyną huculi, dziś jeszcze podczas igrzysk ludowych popisują się swoją zręcznością, o kilkadziesiąt kroków trafiając w wskazany przedmiot. Dawniej obchodzili huculi postrzyżyny t. j. wprowadzenie chłopców wyrostków w stan parobków. Działo się to w ten sposób. Skoro wyrostek oprócz kośby, orki umiał już celnie strzelać, zręcznie władać toporkiem, przyjmowali go parobcy do swego koła, któremu zawsze przewodził „watażył“ najtęższy i najodważniejszy, co to i „opryszkował“ za Czarnohorą, i sławnie strzela z rusznicy i z pistoletu, a toporkiem rzuca jak nikt. Ów wataha odbywa ceremonię na wstępującym członku czyli „frycu“. Huculi jak wszyscy mieszkańcy Karpat, noszą długie włosy, gdy więc fryca niby u ołtarza postawią pod bukiem lub jodłą, inny parobek, przyjaciel fryca ująwszy w górę bujne jego kędziory podtrzymuje je przy samem drzewie, a wataha ostrym toporkiem jednem cięciem lub nawet rzutem o kilka kroków ucina je w połowie pod palcami trzymającego włos kuma lub kumpana. Ten stary, przedchrześciański zwyczaj frycowania ginie już u huculów, rzucanie jednak czyli „metanie“ toporkiem wiernie przechowuje się u wszystkich górali Karpackich. „Najmniej „metaczy“ znajduje się w górach Sanockich. Widziałem takiego w Dźwiniaczu górnym, nader zręcznym był w rzucaniu toporkiem, obcinał szyszki „szyszły“ świerkowe u górnych gałęzi. Z takim „topirom“ zwykł był chodzić na kłusownicze łowy. Skoro spostrzegł rysia, żbika lub kunę ukryte w gałęzi, godził w nie siekierą, rzadko chybiając Był przytem niedźwiednikiem z profesyi. Opowiadano mi następujące jego zdarzenie, które może służyć jako dowód nadzwyczajnej zręczności i odwagi. Wczesną wiosną już śniegi stajały, ale z powodu przymrozków trawa nie rosła, więc zabrakło dla bydła metacza paszy. Zwyczajem jest u górali, choć nie ma jeszcze trawy, wypędzać kozy i owce w świerkowy las, gdzie „naspuskawszy hyla“, tj. drobnych zielonych gałązek, żywią je niemi. Otóż metacz wypędziwszy w las swój dobytek, wdrapawszy się na szczyt smereka spuszczał gałązki, aż tu nagle zjawia się olbrzymi niedźwiedź, wprost sadzi między trzodę, i wnet porwał owcę. Metacz bez namysłu rzuca nań toporkiem i trafia w kark. Siekiera ustrzegła głęboko w ciele zwierza, ryknął straszliwie, porzucił łup i mocno jusząc uszedł w las. Po kilkunastu krokach spiesznej ucieczki niedźwiedzia, wypadła z rany siekiera, którą pochwycił metacz i począł ścigać uciekającego. Niedźwiedź

lubo ciężko raniony, zwiódł się na zadnie nogi, walił czyli jak mówią górale, łoskotał przedniemi łapami i szedł obces na metacza, który przypuściwszy go na kilka kroków, cisnął toporem trafiając między ślepie. Niedźwiedź wywrócił kozłów kilkanaście i padł nieżywy. Podobnych walk, szczególnie z niedźwiedziami, coroku wiele się wydarza. Takimi w owych zapasach są prości chłopi górale, nie gorszą jest szlachta. Słynne z odwagi, znajomości łowiectwa i celności strzałów są na czele przezemnie wymienione rody szlacheckie, z kolei przytoczę niektóre ich pod względem łowiectwa prawdziwie bohaterskie czyny, o jakich głosi już tylko tradycya.

R. 1870 według swego zwyczaju zjechał Tyszkowski jesienią w sanockie góry. Łowy rozpoczęto w lasach, należących do wsi Dydiowy. Wówczas mieszkał tam Jędrzej Osuchowski razem z dwoma dorastającymi synami Kazimirzem i Bronisławem. Wszyscy trzej byli to prawdziwi i namiętni myśliwi. O dgłos trąbki, granie ogarów w kniei poruszały ich do prawdziwie rycerskiego życia. Nietylko młodzi, ale też dobrze już stary pan Jędrzej szparko przez góry, jary i potoki ruszali w stronę, gdzie ogary osaczyły dzika, niedźwiedzia albo jelenia. Właśnie psiarnia trafiła jelenia; po „chodach" a raczej po wodzeniu ogarów po najwyższych szczytach Połonin poznano, że to nie chłyst, szpiczak albo łania, ale kapitalny rogal, który często dla ocalenia stada przystaje w miejscu, a tymczasem łanie, cielęta i młodzież pomykają w przeciwną psich głosów stronę. Stary rogal tnie psom swoją sztukę, to przesadzi głęboki jar, który zaledwo po dobrej chwili przebędzie złaja, to stanąwszy i utopiwszy bystre swe oczy w psy, napowrót przesadza ów jar i jak strzała pomyka w ostępy ku najwyższym gór szczytom. Zanim złaja znowu chwyci trop, on już stoi na samym cyplu stromej góry, „narabiając łyżkami" (uszami) nasłuchuje, jak tam daleko za nim bąkają ogary. Wziąć się na oko psiarni nieda, chyba gdy dowodna trzyma go kilka godzin i zforsuje, wtedy wywaliwszy język odsadzi się, to znowu przystaje dla zachwycenia oddechu szeroko rozwartemi nozdrzami, a gdy w ucieczce chlipnie jak lód zimnej wody z potoku, to wnet siły go opuszczają, „rozeprze się", jak mówią myśliwi, dostanie ochwatu czyli stężenia członków, osobliwie badyli (nóg). Psy podłożono w Dydiowskich Połoninach od granicy wsi Ruskie. Myśliwi Tyszkowski, trzech Osuchowskich, Jan Terlecki, Ziętarski, kilku Przemyślanów wraz z strzelcami Tyszkowskiego i chłopami uzbrojonymi w strzelby zajęli stanowiska, o ile dozwalał teren przepaścisty, niby łańcuchem, przecinając podnóże Połonin, gęstym bukowym porośnięte lasem. Połoniny bezpośrednio łączące się z Karpatami czyli Beskidem, będące jego odnogą, mniej od Beskidu są strome. W niektórych miejscach tworzą dość obszerne doliny. Wyższe werchy, czubałki z grupy drzew właściwego Beskidu, znacznie są wyższe od Berdów połonińskich, do samego wierzchołka porośnięte karłowatą buczyną i kosodrzewiną, gdy w Połoninach w mniejszej wysokości rosną drzewa, poczem następuje linja traw, szczyty zaś Berdów w niektórych miejscach najeżone skałami, a porasta na nich wrzos jałowy, którym żadne stworzenie się nie żywi, olbrzymi mech i gdzieniegdzie kosodrzew, gatunek karłowatej sosny, której w Beskidzie nader mało, a w znacznej obfitości na turniach tatrzańskich. Jak już wspomniałem, psy trafiły jelenia. Zachodzi on często pojedyńczo na połoniny, stadem zaś nigdy. Pojawienie się kapitalnych rogali jest nader rzadkie, i to tylko w Październiku, gdy zwycięsca w miłośnym turnieju wyczerpawszy swe siły, opuszcza łanie i uchodzi w dalekie ostępy Beskidów lub czasem na połoniny, przebywając w zalesionej ich części, żerując na linii traw i ziół, a nawet na najwyższych Berdach. Powraca do stada z początkiem zimy. Numera stanowisk, z wyjątkiem Tyszkowskiego, któremu dano najlepsze miejsce przesmyku pewnego jelenia, rozdano przez losowanie. Najmłodszy góral wyciągał numera. Jędrzej Osuchowski dostał numer średni, a któryś z Przemyślanów ostatni. Mocno się zafrasował takiem zrządzeniem losu, więc Osuchowski, filut pierwszej próby, zamienił z nim swoje stanowisko. Gdy myśliwi już stanęli, starszy myśliwy Tyszkowskiego dał sygnał trąbką, żeby podłożono psy. Lesista część Połonin więcej przepaścista i parowista, jak inne góry w tej stronie z tej ważnej przyczyny, że Berdy czyli wierzchołki stromych gór, przedstawiające się jako obszerne płaskowzgórza, mniej lub więcej zboczyste, w porze tajania śniegów krociem wartkich i obfitych w wodę potoków spływają ku dołowi w miejsce zalesione, ku niższej linii drzew. Ziemia w górach gliniasta, jałowa, niespoista, więc lada potoczek żłobi w niej głębokie bruzdy, z których z czasem powstają głębokie i szerokie parowy, urwiska i debry, a te chyba jeleń przesadzi, inny zaś zwierz omija. Miejsce obsadzone przez myśliwych było więcej jak o ćwierć mili oddalone od miejsca, gdzie podłożono ogary. W tym dniu i w tym miocie postanowiono polować tylko na jelenia, bo był otropiony, a raczej wyśledzony przez „wołowców", pastuchów pasących woły. Często go tam widywali bądź żerującego o świcie, bądź wracającego do leżyska, które w różnych częściach linii lęsnej obierał. Po upływie więcej jak pół godziny, poczęła psiarnia odzywać się gdzieś w dali, co zaś szczególniejsze, gdy gra psów coraz wyraźniej zbliżając się słyszeć się dawała, odezwał się poza goniącą złają jakiś inny bardzo cichy głos goniącego ogara. Cała złaja swoje, a ów pojedynek swoje tną aż miło, to w środku kniei, to gdzieś w dole niemal u samego podnóża Połoniny przy rzece. Psy trzymają wybornie okładającego zwierza. Miano strzelać tylko do jelenia, ale zjawia się stado sarn, więc poczęto pukać do nich, i ubito ich 8 kozłów i siut, bo wtedy Ustawa łowiecka spoczywała jeszcze w letargu. Psiarnia poszła za uciekającemi. Ogar goniący w pojedynkę wywodzi kuranty swym basowym głosem, to utnie na chwilę, to znów poprawi i bąka, a zawsze tylko środkiem lub górnym krańcem kniei. Jak już rzekłem, po chodach poznali myśliwi, że to jeleń. Po licznych strzałach w niższej połowie linii, ostawionej przez myśliwych, można było być pewnym, że tamtędy jeleń nie pomknie. Wodził on ogara po najwyższych szczytach, to znowu między wymuliskami. Jędrzej Osuchowski stał u samego prawie krańca linii drzewnej, niżej stojący myśliwi kilka razy już spudłowali do ukazującego się rogala, poczem pomknął on ku najwyższym bezleśnym szczytom. Osuchowski przewidując, że psy goniące sarny albo się rozdzielą, lub wszystkie pójdą z niemi że jeleń usłyszawszy granie psów i strzały pomknie w dalsze strony, ulokował się niedaleko skraju lasu, mając przegląd drzewnej i bezdrzewnej strony miotu, a przed nim ciągnął się ku dołowi dość głęboki i szeroki jar. Spłoszony strzałami jeleń zamyślał wybrać bezlesną stronę Połonin na cel swojej ucieczki, więc zrobił salto mortale przez wąwóz. W tym właśnie skoku, jakby ptaka w locie, doścignął go celny strzał starego Osuchowskiego. Jeleń padł w czeluść wąwozu, zkąd go z tryumfem wydobyto. Osuchowski był bohaterem dnia, bo ubić przed psami jelenia nie zdarza się często. Myśliwi zgromadziwszy się otrąbili świetne zwycięstwo, odgłos kilkudziesięciu rogów naraz, gromkim głosem odbijał się o skaliste szczyty Berdów i szedł aż do stóp Beskidu Rafki, dumnie wznoszącej swe, w początkach Listopada niby srebrną koroną już śniegiem uwieńczone czoło. Bogaty w pomysły Terlecki na prędce urządził pochód tryum-

falny. Na wozie ciągnionym przez cztery woły węgierskie, których ogromne rogi przystrojono choiną, umieszczono zdobycz łowiecką, po bokach sarny, a w środku pysznego jelenia z wspaniałym 14 kolczastym wieńcem. Zanim psy wróciły i spoczęli myśliwi, była już noc zupełna, gdy cała kawalkada ruszyła w pochód ku małemu przysiołkowi, gdzie był obóz łowiecki. Przyświecano pochodniami przywiezionemi przez Tyszkowskiego. Piękny i fantastyczny był to widok. Starego Osuchowskiego nie bez oporu posadzono na wozie. Wszyscy niemal posiadali trąbki, więc dęli w jakiegoś niby marsza, ale że każdy dął swoje, więc koncert ów podobny był do wycia złai psów, zamkniętych w psiarni. Nie brakło też strzałów wiwatowych. Wrzawa była iście piekielna, spotęgowana odgłosem, odbijającym się o skały i bory. W obozie, a raczej w karczmie czekała myśliwych suta wieczerza z węgrzynem dla panów, a wódką dla służby i chłopów, a wszystko sumptem T., pragnącego ugościć seniora myśliwych Tyszkowskiego. W szynkownej izbie karczemki, na wonnem sianie z połonin, ułożyli się łowcy do spoczynku, opowiadając różne przygody myśliwskie prawdziwe i z fantazyi bujnej wysnute. Każdy, prócz małomownego Tyszkowskiego, był gadułą zawołanym, ale jeden z nich był mistrzem w tym kunszcie. Łgał i gadał bez przestanku, już wszyscy niemal posnęli, on jeden jeszcze prawił bez końca anegdoty i dykteryjki łowieckie, a miał istotnie szczególny dar opowiadania, a przytem pociesznych używał gestów naśladując ruchy ludzi i zwierząt, nawet ich głosy. Rzucając się na wszystkie strony, skopał i zburzył siano w walce z olbrzymim niedźwiedziem, którego po zawiedzeniu obu luf dubeltówki dobił kolbą. „Bo to widzicie — prawił — wstań Jasiu, ty niby niedźwiedź, ja wezmę ot tę dubeltówkę“ „Ależ zmiłuj się Leonie — protestował Jan — czy chcesz na mnie pokazać, jak się ubija niedźwiedzia kolbą“. — „Nic nie szkodzi, to tylko tak niby, wstań“. Wszyscy się kładą od śmiechu. „Bo to widzicie, idzie na mnie niedźwiedź, przypuszczam go na sześć kroków, klap, klap, więc chwytam za lufki i walę mysia, twardy łeb ma szelma“. — „Tylko powoli“ — woła Jan, zatrzymując pięście Leona chcącego nadto jasno ukazać uderzenie w głowę. „Ja niedźwiedzia raz, drugi, trzeci, czmycha nosem, lecz mnie atakuje, jednem słowem kolbę, łoże połamałem w kawałki, lufki pogięły się niby wosk, a ja wciąż tłukę niedźwiedzia“. — „Wierzę — odezwał się któryś — chociaż strzelbę połamał w drobne kawałki, iż mu zaledwie otwory luf pozostały w ręku, grzmocił niedźwiedzia, podobnie jak sławny skrzypek Paganini. Grał koncert, wtem pęka mu kwinta, gra na trzech strunach, pęka druga, gra na dwóch, ba pęka trzecia, wali szelma koncert na bajorku, wreszcie i ten pęc, czy myślicie że przestał grać, nie, grał ciągle. Tak też czynił Leon z niedźwiedziem na owem polowaniu“. Nie nowa, ale na czasie zastosowana anegdota wywołała ogólny śmiech. Leon jakkolwiek opryskliwy, stał ze spuszczoną głową, z miną niewinnie prześladowanego. Odezwał się wreszcie patetycznie: „Tak jest, biłem, biłem i ubiłem ogromnego niedźwiedzia, jak dzieci moje kocham“. Zaklęcia tego używał zwykle dla poparcia największych kłamstw. „Lepsze to, jak dzisiejszy strzał Jędrzeja do jelenia, bo wielka mi sztuka“. Tu w celu uzmysłowienia skoku jelenia stanął na czworaku, poczem zręcznie jednym susem przesadził przez dwóch obok leżących towarzyszów, waląc się całym ciężarem swego ciała na trzeciego już drzemiącego. Gwałtowny wykrzyk przestraszonego wywołał choralny śmiech całego grona. Skonfundowany Leon zaprzestał wreszcie swoich opowieści, ułożył się, a gdy go już nikt nie wyzywał, zasnął ów sławny, może ostatn łgarz ziemi Sanockiej.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

HODOWLA BAŻANTÓW DZIKA.

Komuż nieznany bażant, ów ptak o pięknych kształtach i strojny ślicznem upierzeniem, które nawet na półmisku zatrzymuje. Hodowla bażantów mało u nas niestety jest upowszechnioną, a prowadzona umiejętnie i z amatorstwem może przynieść znaczne dochody. Wprawdzie założenie i utrzymanie bażantarni wymaga znacznych kosztów, pilności i ambarasu, mianowicie niezbędny jest człowiek z hodowlą oznajomiony, posiadający sekreta umiejętnego karmienia młodych bażantów, niesłychanie delikatnych, a takiego człowieka trudno znaleść i drogo go opłacić potrzeba; pomimo tego jednak racyonalnie prowadzona bażantarnia może przynieść kilkaset rubli rocznego dochodu. Bażanty zawsze znajdą pokup w większych miastach, szczególnie w porze karnawału, wtenczas bowiem płacone bywają 6 do 7 rubli za parę. Ponieważ jednak zaprowadzenie i utrzymanie bażantarni nie dla każdego jest przystępne, pragnę obznajomić szan. czytelników z hodowlą bażantów na dziko, o wiele łatwiejszą, tańszą i mniej wymagającą zachodu, a dającą równie świetne zezultaty.

Pierwszym i nieodzownym warunkiem jest odpowiednia miejscowość, park duży z klombami drzew starszych, szczególnie szpilkowych, zagaje podszyte gęstą trawą i woda bieżąca lub staw. Sposób założenia i utrzymania tej hodowli opiszę tak jak widziałem w najbliższem sąsiedztwie. Właściciel majątku K. pan M. posiada przy mieszkaniu park dwudziestomorgowy, w którym są gęste klomby świerków, szczególnie przez bażanty odwidzanych, gdzie też nocują. Część dalszą parku stanowi grunt torfowy po wyciętej olszynie, zarośnięty lasem pokrzyw, które tłumiąc wszelką inną roślinność wyrastają do wysokości człowieka, i one to są najmilszem schronieniem bażantów w lecie i tam gniazda ścielą. Nieco dalej jest kilka morgów starej olszyny, a za nią młody zagaj, porośnięty najróżniejszemi krzewami i drzewami, podszyty gęstą trawą. Wzdłuż parku płynie woda kanałem ze stawu, przy mieszkaniu znajdującym się.

Przed pięciu laty kupiono z dużej bażantarni w Kaliskiem 10 kur i 2 koguty. Przywieziono je w klatce wygodnej wśród zimy i postawiono otwartą klatkę w nocy na ziemi w głównej alei świerkowej, tak daleko od mieszkania, iżby można z okna obserwować, a w koło klatki posypano obficie pszenicy poślednej. Gdy dnieć zaczęło, powychodziły bażanty spokojnie z klatki i pokryły się w krzaki zapewne dla zrekognoskowania miejscowości. O wschodzie słońca strzelec, któremu opiekę nad bażantami powierzono, zatrąbił kilka razy zwykłą trąbką myśliwską

i schował się, a bażanty przyzwyczajone w domu do zbiegania się na odgłos jej po chwili zeszły się i zabrały się do jedzenia pszenicy, poczem znowu się pochowały. To samo się powtarzało przed zachodem słońca i następnie każdego dnia rano i wieczorem, a po kilku dniach bażanty już się tak obyły, że na pierwszy odgłos trąbki schodziły się pod nogi strzelcowi, którego znały doskonale. Na wiosnę, gdy nadszedł czas lęgu, rozpoczęto poszukiwanie gniazd za pomocą wyżła jakoteż małych chłopców, którzy mieli przyrzeczone wynagrodzenie za każde odszukane gniazdo. Bażancice mają taki zwyczaj, jak pawice, ukrywania swych gniazd w największym gąszczu, i znoszą jaja w największym sekrecie, instynktowo obawiając się ludzi, a jeszcze bardziej własnego małżonka, który zdaje się zupełnie nie dbać o pomnożenie swego rodu, bo spotkawszy gniazdo rzuca się na nie z wściekłością i wszystkie jaja rozbija. Z wielkim trudem odszukano zaledwie sześć gniazd, w pięciu znaleziono 60 jaj, w jednem zaś wszystkie były potłuczone. (Stara zdrowa i silna kura znosi do jednego gniazda do 20 jaj i zwykle wszystkie wysiedzi). Czterech gniazd widocznie dobrze ukrytych nie odszukano, a kury troskliwie wysiadywały i wcale nie przychodziły do pszenicy. Wybrane jaja podsądzono pod indyczki (można też pod kury). Lęg jednak wypadł niefortunnie, bo zaledwie 42 sztuk młodych się wylęgło. Czem i jak je karmiono, nie będę opisywał, boby to przeszło zakres niniejszej korespondencyi, zdaje się, że nie umiejętnie brano się do dzieła, bo małe zaczęły zdychać tak, że tylko 26 sztuk pozostało. Te gdy zaczęły podlatywać, puszczono je do parku. Własne matki daleko umiejętniej prowadziły wychowanie dzieci, wylęgłe w nieodszukanych gniazdach, bo gdy z nadejściem zimy zaczęły się za przykładem starszych zbiegać na odgłos trąbki do pszenicy, z początku nieśmiało i trwożliwie, następnie głodem zmuszone śmielej, naliczono ich przeszło 60 sztuk.

W następnych latach zaniechano wyszukiwania gniazd i wybierania jaj, zostawiając pod tym względem kurom wszelką swobodę, co też każdemu uczynić radzę. Okazały się tak świetne rezultaty tej dzikiej hodowli, że gdy w jesieni ubiegłego roku urządzono polowanie z nagonką, można było tych pięknych ptaków naliczyć kilkaset sztuk. Nie radzę jednak urządzać tak hałaśliwego polowania w miejscu, gdzie się wychowały bażanty, bo się niesłychanie płoszą kanonadą, która najczęściej małe daje rezultaty, zwłaszcza gdy myśliwi niewprawni w rozpoznawaniu kogutów od kur, których strzelać nie wolno, a co gorzej po takiem polowaniu bażanty przez kilka dni nie przychodzą na odgłos trąbki i często w krzakach znajdować można zdechłe bażanty, w czasie polowania postrzelone. Kury korzystając z pozostawionej im swobody nie wszystkie gnieżdżą się w parku, często wynoszą się w przyległe zboża i tam się całe stada wylęgają, wtedy można się z niemi spotkać polując na kuropatwy, a nawet te, które się w parku wylęgły, wychodzą pod opieką matki na żer w przylegające zboża. Na zimę wracają do parku i za przykładem starszych, oswojonych z trąbką, o zwykłych godzinach na żer zwołującą, gromadzą się w miejscu, gdzie im sypią pszenicę (w braku jej można dawać owies, jęczmień, a nawet gotowane pokruszone kartofle). Niektóre jednak dziczeją zupełnie i zostają w polu, szczególnie gdy znajdują odpowiednie schronienie n. p. remizy z cierni lub innych krzaków, lub też jeżeli jest las w bliskości, to w nim stale się osiedlają i gnieżdżą.

Bażanty nie idą w pary jak kuropatwy, lecz podobnie jak u swojskich kur, kogut na wzór baszów tureckich pozwala sobie mieć żon kilkanaście, trzeba więc baczyć, by nie zostawiać nadmiar kogutów w stadzie, gdyż te nie tylko między sobą walki staczają, lecz w czasie lęgu niepokoją kury i psują gniazda, koniecznie więc trzeba je wystrzelać. Najlepiej to czynić w jesieni z wyżłem dobrym i pojedyncze przed psem zrywające się koguty zabijać, lub też w zimie przy gromadzeniu się ich do żerowania. W tym celu stawia się w bliskości miejsca, gdzie sypią pszenicę, budę, w której ukryty strzelec siedzi. Gdy się wszystkie zgromadzą, wybija się największe koguty z broni, nie sprawiającej huku, więc z wiatrówki lub floweru. Sztuka z bliska celnie trafiona podskoczywszy pada nieżywa, a reszta towarzystwa nic sobie z tego nie robi, żerując spokojnie dalej, zabite sztuki zabiera się z miejsca dopiero wtenczas, gdy się już wszystkie pozostałe porozchodzą. W końcu nadmienić muszę, że park, przeznaczony na hodowlę bażantów, powinien być ogrodzony, prócz tego pilnie baczyć należy, by się lisisko do niego nie wkradło, również przestrzegać, aby się psy i koty po parku nie włóczyły, słowem uważać pilnie, aby bażanty tak przez ludzi jak zwierzęta jaknajmniej były niepokojone.

Cieszyć się będę, gdy kto ż szan. czytelników, zachęcony niniejszym opisem, zaprowadzi u siebie hodowlę bażantów, a doczekawszy się w lat kilka świetnych rezultatów, o czem nie wątpię, zawiadomi o nich Redakcyę „Łowca“. *H.*

KORESPONDENCYE.

Lisowice, w Lutym.

Szczęśliwi uczęstnicy tegorocznych łowów tutejszych wpisać mogą nader miłe wspomnienia do karty swoich dziejów. myśliwskich. Stary, doświadczony, i znający prawie wszystkie najsłynniejsze knieje kraju naszego, wyznać muszę, iż nigdzie dotąd podobnych niedoznałem wrażeń i niewidziałem rozmaitości takiej zwierzyny, jak w ciągu tegorocznych polowań Lisowickich

Spis zabitej przez nas zwierzyny załączyłem już Szan. Redakcyi „Łowca“, a jeśli ona była imponującą pod względem rozmaitości, cóż dopiero powiedzieć o tegoroczném polowaniu zimowem? A to polowanie odbyliśmy w najniekorzystniejszych warunkach. Brak zupełny ponowy, dnie ciepłe, istna wiosna, to znów mgły i wilgoć, słowem jaknajgorsze pole, wszystko to uniemożliwiało tropienie grubego zwierza i stawiało na każdym kroku nie do zwalczenia przeszkody. Dzięki tylko wzorowej organizacyi Lisowickiego polowania i staraniom jednego z najlepszych, jakich kiedykolwiek spotkałem myśliwych,

dozorcy naszego rewirowego Jana Parandzieja z Taniawy, do tak świetnych doszliśmy rezultatów. Spotykamy często spisy w kraju naszym zabitej zwierzyny, i te imponują nam ilością, ale spisu, jaki wykazują tegoroczne nasze polowania, przekonany jestem, iż żadna inna knieja w przybliżeniu nawet nie wykaże. Dawnym zwyczajem załączam go tu w całości: niedźwiedź 1, ryś 1, wilki 2, żbiki 2, kuna 1, dzików 13, rogaczy 44, lisów 35, zajęcy 56, cietrzew 1, jarząbków 19, słonek 11, puhacz 1, — strzałów 402, sztuk 187. Pewną jest rzeczą, iż gdyby nie brak śniegu, a z tąd niemożliwość tropienia dzików, i uganianie za nimi na oślep po czarnej stopie, o wiele wyższą jeszcze bylibyśmy wykazali ilość ubitej zwierzyny. Rezultat ten, jak powiadam zawdzięczamy po części staraniom naszego wyżej wzmiankowanego dozorcy, który zwierzyny swoich rewirów strzeże przez rok cały pilniej, niż niejeden ekonom swego inwentarza roboczego, ale przeważnie uprzejmemu uśmiechowi niewiem czy jakiejś Sylwanki, czy samej Bogini Diany, tak w tym roku wyjątkowo na nas łaskawej. Jej to opiece i staraniom naszej straży leśnej winniśmy ten szczęśliwy przypadek, że z pięciu zapowiedzianych nam największych szkodników naszych rewirów to jest rysia, 2 wilków i 2 żbików, żaden nie uszedł i że szlachetna zwierzyna Lisowickich borów na czas jakiś zwłaszcza przy zbliżającej się porze lęgu, spokój będzie miała. Słusznie to zauważano, iż ta leśna bogini tak jak każda bardzo piękna niewiasta, dziwne miewa kaprysy i wybierając sobie ulubieńców, bez miary obsypuje ich darami, gdy innych swoich wielbicieli niesprawiedliwie z gniewem odtrąca. Doświadczyliśmy tego aż nadto na tegorocznych łowach. Lubo z resztą ta bardzo dobrze wychowana niewiasta zupełnie niegrzeczną dla nikogo prawie niebyła i choć nie serdecznym, ale zimno uprzejmym uśmiechem każdego obdarzyć umiała, to jednak względem niektórych naszych towarzyszy okazała się aż nieprzyzwoicie zalotną. Gdybym zestawił tu listę spotkań z najrozmaitszą zwierzyną niektórych naszych towarzyszy, to wzbudziłbym uspione już uczucie zazdrości w pokrzywdzonych niesłusznie, a co gorsza mógłbym skompromitować naszą wszechmocną Władczynię i naraziłbym się może na jej zemstę, a jako namiętny myśliwy zanadto się tego obawiam. Niechcąc się więc narazić nikomu, nagie fakta wolę skreślić w krótkości, wymieniając ku czci naszej Bogini chlubne czyny głównych aktorów tegorocznego zimowego polowania. Królem łowów był Zygmunt Pietruski, który zabił rysia. Prezes Towarzystwa Lisowickiego Władysław Bzowski zabił starego wilka olbrzymich rozmiarów i dzika, wilczycę zabił Edmund hr. Dzieduszycki. Stanisław hr. Wodzicki zabił żbika i trzy dziki. Żbika drugiego zabił nasz dozorca rewirowy. Stanisław Piegłowski zabił cztery dziki, zrobiwszy dwa coup-double. Stanisław hr. Tarnowski zabił dzika, a niżej podpisany dwa dziki. Resztę ubitej zwierzyny rozdzieliła nasza Bogini w równych i w nierównych częściach między swoich ukochanych i mniej ukochanych wielbicieli. Z żalem zawiesiwszy dziś strzelby na ścianie aż do owej szczęśliwej chwili, w której pierwsze chrapanie długodzióba z letargu myśliwego obudzi i do lasu powoła, uczestnicy Lisowickich łowów kołysać się mogą błogo wspomnieniami tegorocznej wyprawy, która pewnie w ich pamięci wyryła więcej wspomnień, niż u tych zajączkowych i kuropatwianych myśliwych, którzy setki sztuk zabitych wpisali do swej księgi pamiątkowej. Jednego dnia w rewirze Taniawskim ubiliśmy sześć dzików, były to same maciory, których sekcya wykazała w przyszłości ubytek 43 dzików. Wyznać musimy, iż na widok takiej hekatomby dziczych niewiniątek w skrytości zakrwawiło się może serce niejednego z naszych myśliwych, ale stało się zadość sprawiedliwości i potrzebom okolicy oraz ustawie łowieckiej, która dzika bezwzględnie jako szkodnika potępia. Na ten widok byłby może i poseł Romańczuk cofnął swój słynny tegoroczny wniosek, który i tak wcale nieodpowiada celowi i dąży chyba tylko do wytworzenia nowej jeszcze falangi kłusowników, a może nawet band opryszków w Karpackich górach. Z wnioskiem swoim byłby powinien się raczej udać do Towarzystwa Lisowickiego, niż do Sejmu krajowego.

Leopold hr. Starzeński.

Szydłowce, dnia 31. Stycznia 1885.

Dnia 29. Stycznia r. b. zdarzyło mi się rzadkie w swoim rodzaju spotkanie z wilkiem, przeto chcąc się podzielić wrażeniami z szerszem kołem myśliwych, upraszam szan. Redakcyę „Łowca“ o pomieszczenie tych słów kilku w szpaltach swego pisma. Po dniu 29. Stycznia nastąpił śliczny, jasny wieczór, co mnie spowodowało do wycieczki nocnej w celu spotkania się na oziminach z lisem, zającem lub kozłem. Wycieczka ta więcej miała na celu spacer przyjemny jak polowanie, bo w nocy zawsze zwierz przezorniejszy i nie łatwo daje się podjechać saniami, a tem trudniej podejść. Po kolacyi około godziny 9 kazałem założyć konie do prostych sani, i wziąwszy sobie do pomocy strzelca w osobie kucharza mojego, ruszyłem na te pseudołowy. Wyjechawszy na pszenice, zajęcy mało widziałem, i żadnego nieudało mi się podjechać, ale jadąc dalej zobaczyliśmy stadko sarn złożone z 7 sztuk. Zacząłem więc z moim towarzyszem debatować, w jaki sposób możnaby te ostrożne zwierzęta zajechać na odległość dającą możność poznania kozła; lecz wszelkie nasze strategiczne plany pokonała mądrość sarnia, bo całe stadko poigrawszy z nami wymknęło się i znikło nam z oczów. W chwili gdy wracając przejeżdżamy około stożka owsa, do którego plecami siedzieliśmy na saniach, furman gromkim głosem „a to co takiego“ zwraca naszą uwagę w stronę stożka. Odwracamy się czemprędzej, oczom naszym przedstawia się przepyszny widok w postaci dwóch kolosalnych wilków. Spadło to na nas jak piorun z nieba i w pierwszem rozgorączkowaniu, które koledzy myśliwi łatwo zrozumieją, niepodobna było plan jakiś zdrowym umysłem ułożyć. Czemprędzej nabijam moją przyjaciółkę Teschnerówkę, kucharz kapslówkę miał oczywiście nabitą, a wilki od nas na 100 kroków może, jeden za drugim w odległości mniej więcej 50 kroków poważnie maszerują drogą do lasu. Furmana trącam w bok i szepcę, aby co koń wyskoczy pędził do pierwszego wilka, którego też idącego wolno szczęśliwie dopędzamy, ale w tej samej chwili wilczysko zawraca do swego towarzysza, wtedy ja daję znak furmanowi, aby wstrzymał konie. Konie stają, a ja i kucharz prawie jednocześnie palimy na połeć do wilczury z odległości niewięcej jak 25 kroków. Wilczysko zaskowyczało, podniosło kitę do góry i w szalonych susach popędziło przez rolę w kierunku sąsiedniego lasu Lidorawskiego. Drugi niestrzelony toż samo uczynił z tą tylko różnicą, że do mojego lasu podążył. Wilk zaskowyczał, więc dostał dobrze, ale od kogo, pewnie od obu, bardziej jednak ufałem mojej Teschnerówce jak lichej kapslówce kucharza. Jaką minę miałem wówczas kiedy wilczysko znikło, tego nie wiem, ale uczucie moje wewnętrzne było takie, że w pierwszym zapędzie Teschnerówkę, kucharza i furmana w drobne kawałki radbym był posiekać. Ochłonąwszy z pierwszego tego szalonego wrażenia, zastanawiam się, dla czego wilk uciekł. Wtem kucharz podchodzi i robi uwagę, że śrótem drobnym zajęczym nie

mogliśmy zwierza na miejscu powalić. Prawda, więc przepadło. Idziemy na trop pocieszyć się choć widokiem upuszczonej krwi tej bestyi, ale znowu rozczarowanie, gdyż oprócz sążnistych susów nie znajdujemy nic na śniegu. W odległości może 300 kroków od miejsca katastrofy znajdujemy nareszcie jedną kroplę krwi, na widok której kucharz nieposiadając się z radości wykrzykuje, że wilk nasz. Ja śmiejąc się z niego postępuję dalej tropem i dochodzę aż do okopu sąsiedniego lasu, przez który wilk przesadził jak najzdrowszy i znikł w mojem przekonaniu na wieki. Tymczasem w księdze przeznaczeń inaczej snać było zapisane, gdyż miała nam zabłysnąć ta chwila upojenia — oglądać poległego wilczurę, ale dopiero znacznie później. Doszedłszy do okopu lasu, pożegnawszy się w duszy z nadzieją pozyskania tak zaszczytnej zdobyczy, siadam na sanie i ruszam na oziminy, aby choć jednego zajączka przywieźć do domu. Udało mi się istotnie jednego szaraczka podjechać i zabić, ale cóż znaczy szaraczek w porównaniu ze zfuszerowanym wilkiem? Wracam do domu przygnębiony myślami, a kucharz mnie pociesza, że nazajutrz rano musi tego wilka odszukać, ja słucham już obojętnie i myślę „gadaj sobie zdrów, wilk może już o mil kilka od nas“. Gdyśmy dojeżdżali do miejsca, gdzie wilk strzelony przesadził okop, kucharz prosi, żeby się zatrzymać i oglądnąć dokładniej ślady. Ja się nie sprzeciwiam, stajemy, on poszedł, następnie widzę jego jakieś ruchy gimnastyczne nad okopem, to przysiada, to się podnosi, wreszcie nieśmiałym jakimś głosem jakby sam sobie nie wierzył, woła: „proszę Pana, wilk leży w lesie“. Ja z ironią odpowiadam: „dawaj go na sanie“. On znowu: „Niech bo Pan będzie łaskaw sam popatrzyć, może to pieniek, to nie warto przez taki głęboki okop drapać się“. Złażę więc z sani i bez żadnej już myśli, bezwiednie idę do kucharza, który mi jakąś bryłę wskazuje w lesie pod grabem. Nadzieja wstąpiła we mnie, kucharz ani się spostrzegł, jak silnem mojem pchnięciem znalazł się na dnie fosy, poczem wydrapał się na drugą stronę, i woła: „Panie jak Boga kocham wilk leży“. Ja wołam: „dawaj wilka“, a on na to: „kiedy się boję“. Już mi tego za dużo było, jednym susem staję w lesie, pędzę prosto do bryły i o dziwo! istotnie znajduję niewidzianych rozmiarów wilczurę psa już zesztywniałego. A więc legł pierwszy z mej ręki wspaniały pogromca baranów, źrebaków, świnek i t. p. Serdecznie uściskałem poczciwą moją Teschnerówkę i przy tej sposobności polecam ją wszystkim myśliwym jako rzadką w swojej doskonałości broń myśliwską. Grubym kaczym śrótem powalić taką bestję, jak się przy sekcyi okazało śrótem jednym w samo serce, to przecież nie tyle zasługa dobrego strzału, ile ostrości uderzenia tej niezrównanej strzelby. Na zakończenie muszę jeszcze podać rozmiary tego wspaniałego króla kniei naszych: Wysokość po przedniej łapie do kłęba 85cm, długość od końca nosa do końca ogona 170cm, waga, chociaż chudy był jak szczapa, wynosiła 44 kilogramów.

Antoni Walewski.

Rzemień, dnia 1go Lutego 1885.

Od 1go Marca 1884 do 1go Lutego 1885 r. zabito w Rzemieniu na przestrzeni około 4500 morg. pola i do 6000 morg. lasu wynoszącej, zwierzyny pożytecznej: dzików 4, rogaczy 41, zajęcy 211, kuropatw 243, przypiórek 92, słonek 31, kszyków, chruścieli i dubeltów 187, zwierzyny szkodliwej 31 lisów, 2 kuny, 26 psów, 17 kotów, między którymi 3 dzikie koty lasowe, srok i wron 209, wydrę 1 i jastrzębi 32.

Zające w skutek powodzi ostatniej w przeszłym roku prawie w $^3/_4$ częściach wyginęły, w skutek czego widziałem się spowodowanym przez cały Grudzień i Styczeń obecnej zimy zakazać strzelania do nich. Chcąc dać dowód, że mylnem jest twierdzenie ogółu myśliwych bardzo rozpowszechnione, jakoby dziki zwłaszcza dorosłe po strzałach wynosiły się daleko, przytaczam tutaj zdarzenie z odyńcem, jakiego sam doświadczyłem. Na polowaniu przy końcu Listopada w rewirze Rzemieńskim w 5 strzelb, założony został zrąb obsadzony gęsto sośniną 8 do 9 letnią, mniej więcej około 70 morg. przestrzeni wynoszący, na rogacze. Kiedy nagonka już w większej połowie zrębu się znajdowała, raptem stojąc na górce, z której cały zrąb goniony był widocznym, widzę ku mojemu największemu zgorszeniu, że w samym środku łańcuch nagonki zaczyna się mięszać i rozsypywać śród nawoływania i przeraźliwego tłuczenia klekotkami. Następnie pada 7 strzałów na linii strzelców prawie równocześnie i w tejże chwili widzę pod górką z przeciwnej strony wynoszącego się ogromnego odyńca, z tyłu poza pogónkę cwałującego całym pędem w knieję przyległą, położoną na samym kraju lasu nad łąkami ze strony wschodniej, oddzielonej kawałkiem zrębu, świeżo obsianym lasem, od zachodniej łąkami dworskimi, od południowej zaś i północnej szerokiemi linjami turnusowemi. Dodać muszę, iż polując na czarnej stopie nikt się nie spodziewał obecności takiego gościa w pomienionym zrębie. Chociaż nie przypuszczałem, by odyniec mógł ostać się, zwłaszcza po strzałach, z których dwa do niego padły, niestety śrótem, w kniei od tegoż zrębu, z którego się wyniósł, o jakie 500 kroków ledwie oddalonej, jednakowoż kazałem obstawić pogónką linję południową tudzież flanki od strony łąk i świeżo obsianego zrębu, strzelców zaś umieściłem na linii północnej, od zrębu ku łąkom prowadzącej, której długość około 400 metrów mniej więcej wynosić może, a ponieważ mój leśniczy posiada jamnika dużych rozmiarów, który znakomicie za dzikami idzie, żadnej innej zwierzyny prócz dzika nie goni i rzeczywiście jest unikatem znakomitym psiego rodzaju w tem rzemiośle, kazałem go puścić na trop odyńca przy samej kniei widoczny. W 10ciu minutach po puszczeniu psa usłyszeliśmy ujadanie z jednej strony kniei na drugą przenoszące się i zbliżające się coraz bardziej do linii strzelców. Trwało to przeszło godzinę, widocznie tedy odyniec z powodu silnie obstawionych flanków i linii południowej, dochodząc do tychże zwracał się nazad w knieję, będąc prześladowany natarczywie przez znakomitego pieska. Nareszcie usłyszeliśmy na jakie 30 kroków przed strzelcami chrypliwe i zajadłe naszczekiwanie prawie w jednem miejscu, tudzież fukanie i kłapanie odyńca, co trwało dobre pół godziny. Zniecierpliwiony do najwyższego stopnia takiem zachowaniem się odyńca, posłałem od strony łąk podleśniczego, który się przy mnie znajdował, z poleceniem, by z tamtej strony podchodził odyńca, sam zaś prosto od linii zacząłem się skradać ku miejscu ciągłego naszczekiwania psa, co było jednakowoż niesłychanie trudnem z powodu wielkiego bagna, prawie trzęsawiska, na jakiem knieja była położoną i doszedłem pomimo zapadania się nieustannego na jakie 15 kroków od miejsca hałasu, lecz niestety w skutek ogromnego gąszczu dojrzeć tylko mogłem zjajanego psa, siedzącego na ogonie i szczekającego nieustannie, dzika zaś ujrzeć nie mogłem, tylko widziałem krzaki ruszające się i fukanie odyńca słyszałem, widocznie oba zapaśnicy, a zwłaszcza odyniec tak się zmachali pędem blisko dwugodzinnym w bagnie, że ten gąszczyk wybrali na odpoczynek. Myśliwy kolega w św. Hubercie pojmie emocyą, jakiej w tej chwili doświadczyć musiałem, słysząc odyńca na 15 kroków odemnie oddalonego, którego dojrzeć w żaden sposób nie mogłem, przytem zapadając się nieustannie

prawie po pas w bagno. Wreszcie wyrwawszy nagle nogę z trzęsawiska, chcąc dalej postąpić, usłyszałem łomot z przeciwnej strony odemnie i gon psa prosto ku stronie linii południowej dążący. Zdesperowany, zlany potem, wróciłem na linję strzelców w chwili, gdy się już zmierzchać zaczęło i porozumiawszy się ze strzelcem najbliższym, zacząłem się zabierać do haniebnego odwrotu wraz z innymi myśliwymi. W tej chwili znowu usłyszałem ujadanie jamnika, które przedtem może na 10 minut ucichło, widocznie skierowane ku linii strzelców. Na ten głos zatrzymałem się i dałem znak umówiony trąbką, by pogonka na przeciwległej linii od strzelców postawiona jak najprędzej naprzód ruszyła, co też natychmiast nastąpiło z wielkim pośpiechem i wrzawą. Kiedy pogonka już znajdowała się o 80 ledwo kroków od linii, usłyszeliśmy blisko szczekanie psa i na jakie 15 kroków wypada odyniec na linję po lewej stronie odemnie stojącego p. T., adwokata, który dla interesów do mnie przyjechał i na polowanie poszedł, na sztych. Biedny mecenas, który nie miał wyobrażenia o takim potworze, a może i w życiu dzika nie widział, ucieka na drugą stronę linii, zostawiając na środku tejże czapkę i zapada się po pas w bagno. W tejże chwili zwraca się odyniec nazad do kniei, ja zaś na .chybił trafił z trzeciego stanowiska na jakie 90 kroków, walę do niego. Po strzale odyniec pada, ale natychmiast się zrywa i ucieka nazad w knieję, drugi strzał był już nie możebny z powodu zmroku i gąszczu. W minutę może po moim strzale dają się słyszeć dwa strzały jeden po drugim w kniei od strony pogonki, i rozlega się głos trąbki przeciągły i uroczysty, grającej upadłego. Dalsze komentarze byłyby zbyteczne, dodam tylko, iż kula moja przeszyła dzika z boku koło serca i wyszła karkiem koło łopatki. Dzik ten był jeden z największych egzemplarzy, jakie w życiu widziałem, albowiem ważył po wypatroszeniu 258 kilogramów, a jak musiał być imponujący widok jego w kniei, dowodzi najlepiej ta okoliczność, że posłany przezemnie podleśniczy w celu podchodzenia odyńca od strony łąk, widział go na jakie 20 kroków uganiającego się za psem w kniei, lecz bał się do niego strzelić pomimo, że był wcale dobry i doświadczony myśliwy. *Z. z Zięblic Bogusz.*

KRONIKA.

Borowno 5. Lutego.

Wiedząc, że Szan. Redakcya chętnie umieszcza sprawozdania z polowań w Królestwie, uważam za obowiązek donieść o rezultacie polowania, odbytego w dniach 30. i 31. Stycznia b. r. w Grodźcu, majątku p. Ciechanowskiego, w gub. Piotrkowskiej, powiecie Będzińskim na samej granicy Szląska. W 9 zakładach na terytoryum 100 włok, przeważnie pola, gdyż lasu tam tylko 7 włok (włoka nasza liczy 30 morgów), w 12 strzelb ubito 435 zajęcy, 15 bażantów, 3 kuropatwy i 3 jastrzębie. Rezultat tego polowania w naszych stosunkach jest nader świetny i dowodzi, że przy umiejętnem prowadzeniu myśliwstwa i u nas znakomite można osiągnąć rezultaty. Właściciel Grodźca dopiero od lat trzech zajął się starannie gospodarstwem łowieckiem· w r. 1882 ubito na powyższej przestrzeni 80 zajęcy, w roku następnym 1883 278, a w bieżącym 435. — Bażanty chowane są tu w dzikim stanie, czy właściciel ich dojdzie do pomyślnego rezultatu, w tej chwili orzec trudno. Zakupionych kilkanaście bażantów puszczono. w roku przeszłym była ich już dosyć znaczna liczba, bo zabito 15 kogutów. Dodać jeszcze winienem, że Grodziec leży w szczęśliwem sąsiedztwie, graniczy bowiem od południa z Szląskiem, mianowicie z dobrami Neydeck hr. Henckla, a wiemy jak tam troskliwie dbają o dobry zwierzostan. *A. M.*

Wpisali się w poczet członków Tow. łowieckiego:

Horodyski Kornel.
Niezabitowski Stanisław.
Plater Michał hr.
Trzciński Oktaw.

Litanja do św. Huberta. Wielki święty Hubercie wspieraj nas.

Od zapamiętałych myśliwych, wybaw nas.

Od długich nocnych powrotów, kamieni, wybojów i parowów, wybaw nas.

Od strzelb ulepszonego systemu, które same wypalają, zachowaj nas.

Od myśliwych fuszerów jakoteż przemądrych, wybaw nas.

Od zarozumiałego a odważnego strzelca, zachowaj nas.

Od profesora zoologii, a zwłaszcza od nauki poznawania rogacza, wybaw nas.

Od śrótu sąsiada otocz nas pancerzem swojej opieki i natchnij nas szybką ripostą.

Od ludzi darzących nas tak zwanemi „praktycznemi radami“, wybaw nas.

Od opowiadań starego jegomości, który ze sławnym myśliwym polował (a takich ma każdy powiat), wybaw nas.

Od sąsiada, który zawsze ma pretensyę do spółki w zabitej zwierzynie, ratuj nas.

Od towarzysza galopującego na błotach, zachowaj nas.

Uczyń, iżby nieunikniona na polowaniu kłótnia nie wypadła z najmilszym towarzyszem.

Od postrzałów, pazurów, kłów, rogów, obroń nas.

Od pani, która raz pierwszy poluje, wyzwól nas.

Od despotycznej żony, bolu zębów, nagniotków i innych przeszkód w polowaniu, zachowaj nas.

Od rządowych polowań i strzałów myśliwych, na ten akt zaproszonych, zachowaj nas.

Od myśliwego, nie robiącego ceremonii, nie mającego ładunków i innych przyborów, pożyczającego wszystko, wymagającego wreszcie, aby mu jego zwierzynę niesiono, zachowaj nas.

Natchnij moich miłych towarzyszy, by pamiętali o mnie, gdy polować będą.

Odwróć od nas złe myśli, byśmy towarzyszom nieszczęścia, a sobie szczęścia życzyli, uczyń jednak, iżby się tak stało. Amen. *M. T.*

Rok 1884. Styczeń. W pierwszych dniach trochę śniegu i dwa stopnie mrozu, później deszcze i wiatry.

Luty. Mrozu i śniegu nie było, ciepło dochodziło w połowie tego miesiąca 12 stopni.

Marzec. W pierwszych dniach padł ogromny śnieg, którego wiele zginęło, potem wziął mróz, od 6. do 10. mrozu było po 7 stopni, nawet w dzień trzymał. Od 15. ciepło, wiosna, widziałem czajki, od 20. do końca deszcz.

Kwiecień rozpoczął się zimnym północno-wschodnim wiatrem, w nocy mróz, 4. i 5. spadł na 6 cali śnieg bez mrozu, potem wiatr, 9. do 15. ciepło, wiosna; następnie zimno, śnieg, wiatry do końca.

Maj. Wiosna i trwała pogoda aż do końca.

Czerwiec. Ogromne deszcze, rzeki wezbrały, powodzie i szkody, szczególnie nad Wisłą i Sanem.

Lipiec. Ciągłe deszcze aż do 24., 18. nie znalazłem nic na błotach, 24. zabiłem 14 dubeltów na Bandurach.

Sierpień. Pogoda, 16. mróz zwarzył jarzyny, pogoda do końca.

Wrzesień. Pogoda, upały, przy końcu miesiąca przez kilka dni deszcze i znowu upały.

Październik. Śliczny czas. Polowałem przez cały miesiąc z chartami.

Listopad. Do 13. pogoda., 14. i 15. śnieg ogromny, potem mróz do 15 stopni do końca, sanna wyborna i ponowa, zawieruchy nieustanne.

Grudzień. Do 5. mróz i sanna, potem odelga, deszcz, śnieg zginął zupełnie, błoto do końca miesiąca. *M. T.*

Obok wielu sprawozdań, nadsyłanych do naszego sympatycznego organu łowiectwa, sprawozdań niektórych imponujących rezultatami, nasze za rok ubiegły, może tylko bardzo skromne zająć miejsce. Śniegi, zawieruchy, roztopy prześladowały nas, nie dozwalały ścisłego wykonania ułożonego planu, wielu z towarzyszów naszych powstrzymywały od przybycia na punkt zborny tak dalece, że na 32 członków Towarzystwa naszego, kilka razy zaledwie czterech, prócz gości, na polowaniu się znajdowało. Złe jednak czy dobre notujemy, i notatką choć arcyskromną dzielimy się z czytelnikami „Łowca". Na dziewięciu polowaniach ubiliśmy zajęcy 188, kuropatw 5, lisów 6 (w kociołkach). Dozorcy nasi sprzątnęli: psów 21, kotów 46, szkodliwych ptaków 159.

Z Wydziału Towarzystwa Pruchnicko-Kańczudzkiego.

Cesarz Franciszek Józef jest, jak wiadomo, znakomitym myśliwym. Wyjmujemy z „Presse" rezultat łowów jego w ciągu lat 36 od 1848 do 1884: bażantów 14.175, kuropatw 8270, zajęcy 6456, królików 4418, kozic 1570, kaczek 1404, dzików 1279, bekasów 825, jeleni 807, łań 922, głuszców 562, rogaczy 377, przepiórek 286, danieli 204, lisów 197, cietrzewi 54, jarząbków 6, niedzwiedzia 1, rozmaitych drapieżnych zwierząt czworonożnych 40, skrzydlatych 1287. Ogólna liczba ubitej przez Najjaśniejszego Pana zwierzyny wynosi sztuk 43.138.

Spas 1. Grudnia 1884.

Czytając nieraz w „Łowcu" o rezultatach polowań, podawanych z rozmaitych części kraju, pozwolę sobie nadmienić, że i nasza okolica podkarpacka ma liczny zastęp gorliwych wyznawców Nemroda, którzy, o ile czas i obowiązki pozwalają, umieją polowanie urządzić i pięknym łupem się poszczycić. I tak w dniu 26. Października 1884. polowano w lasach należących do probostwa rzymsko-kat. w Dolinie w kniei, składającej się przeważnie z drzewostanu bukowego, podszytego tu i owdzie gęstym młodnikiem jodłowym i świerkowym, w którą obfitość bukwy ściągnęła większą ilość dzików. Ponieważ na stopie czarnej o obtropieniu mowy być nie mogło, szanowny gospodarz p. Berwid oprócz swych trzech sfór dzielnych piesków, którym groźna postawa rozjuszonego odyńca nie jest obcą, zarządził równocześnie nagonkę. Polowanie było uwieńczone dwoma grubemi sztukami rodu dziczego. Jeden z nagonki po ukończonym miocie opowiadał, jakoby widział na skrzydle wynoszącą się niedźwiedzicę z dwoma piastunami, więc szanowny gospodarz urządził w dniu 5. Listopada powtórne polowanie w tej samej kniei, na którem i ja miałem przyjemność się znajdować. Dano mi stanowisko na drodze lasowej, ciągnącej się w połowie bystrej uboczy po nad głębokimi parowami. Po upływie zaledwie 10 minut, gdy pierwsze hasło postępującej nagonki się odezwało, słyszę pod sobą z głównego jaru coraz częstszy i coraz donośniejszy łomot gałęzi, jak gdyby całe stado dzików do mnie się zbliżało. Siedząc na drodze na małym pniaczku, prawie na czystem, zakryty tylko ze strony miotu grubą jodłą o kilka kroków odemnie odległą, układam na prędce w myśli całą taktykę, w jaki sposób i do której sztuki pierwej mam strzelać. W chwili, gdy pochyliłem się nieco w bok, by widzieć co się dzieje przedemną, a właściwie za złomami na 30 kroków przedemną leżącymi, wyskakują jak *deus ex machina* dwa niewielkie stworzenia, więcej do małp podobne, jak do rodu niedźwiedziego, na złom przedniemi łapami, a zobaczywszy mnie, jakby na komendę przeskakują kłodę i rzucają się w bok, wydając głos jakiś dziwny. Przypominając sobie zasadę doświadczonych myśliwych, nie strzelam do piastunów, ale czekam na starą, która niebawem usłyszawszy głos przestraszonych dziatek nie przełazi ale przesadza kłodę, a zoczywszy mnie, zakłopotana z wielkim rykiem rzuca się w bok, nim jednak potrafiła się ukryć przed mym wzrokiem, kula posłana z dwórurki Nowotnego Lefoucheux odebrała jej chęć odwrotu. Nim potrafiłem się otrząść z wrażenia tak rzadkiego spotkania, widzę imponującą postać rozjuszonej niedźwiedzicy z otwartą paszczą i błyszczącymi zębami spiętą na tylnych łapach, z groźnym rykiem postępującą ku mnie. Że niewielka odległość, bo zaledwie 20 kroków dzieliła nas od siebie, wezwałem pomocy św. Huberta i zmierzywszy w pierś między przednie łapy, strzeliłem... wraz ze strzałem runęła niedźwiedzica, a przeraźliwy ryk wysłał daleki odgłos z krwawego pobojowiska. Obie kule dostała w komorę, pierwsza jednak nie naruszywszy szlachetnych części, nie była śmiertelna. Był to piękny okaz, miała od nosa do tylnych stóp 1·80 metra długości, włos piękny i gęsty, barwy brunatnej, przyczem nadzwyczaj dobrej tuszy. Psy doszedłszy do tropu rozbiegły się za piastunami, które w obce knieje uratowały się ucieczką. Gdyby kilka lat podobnych po sobie nastąpiły, to ród niedźwiedzi uległby niezawodnie zupełnej zagładzie, zabita bowiem niedźwiedzica jest czwartą z kolei, jakie w jesieni w roku 1884 w tutejszej okolicy ubito. *W. Jarosz.*

Z Towarzystwa myśliwych w Kołomyi. Dnia 8. Stycznia b. r. odbyło się doroczne Ogólne zgromadzenie członków kołomyjskiego Towarzystwa myśliwych, na którem Wydział zdał sprawę z czynności w roku ubiegłym, a mianowicie:

a) Zadzierżawił w drodze publicznej licytacyi prawo polowania w gminach: Diatkowce, Kluczów mały, Kniaźdwór, Kołomyja, Kujdańce, Michałków, Młodiatyn, Peczyniżyn, Szeparowce i Załucze na lat 10, a nabył w drodze dobrowolnej ugody prawo polowania na rok 1884 od dawniejszych dzierżawców w gminach: Korszów, Liski, Matyjówce i Rakowczyk.

b) W ciągu roku 1884 wpisało się do Towarzystwa członków 53, z tych wystąpiło z powodu przeniesienia 9, zrezygnowało 5, a jeden był bezpłatny.

c) Wydział wyznaczył dla każdego zadzierżawionego obszaru delegata, który obowiązanym był obeznać się z miejscowością i podawać do Wydziału wnioski co do zabezpieczenia polowania przeciw kłusownikom.

d) Wydział wyznaczył następujące premje: Za odebranie od nieuprawnionego dubeltówki 4 złr., a od pojedynki 2 złr.; za ubicie orła 2 złr., jastrzębia kuropatnika 1 złr. W ciągu roku wypłacono za odebraną pojedynkę 2 złr., a za ubitego kuropatnika 1 złr.

e) Wydział zarządził gremialne polowanie w Peczeniżynie. Rezultat był bardzo skromny z powodu, że na to polowanie zaledwo trzecia część członków przybyła, że nagonki nie można było zebrać w dostatecznej ilości, a nakoniec, że jakkolwiek Towarzystwo nasze dzierżawi znaczne obszary, takowe nie kwalifikują się do polowań z nagonką.

Z końcem roku każdy członek był obowiązany złożyć w Wydziale 10 par nóg ptaków drapieżnych, lub za brakujące po 5 centów od pary zapłacić, jakoteż spis ubitej zwierzyny przedłożyć.

Dotychczas oddano tylko 82 par nóg, a za 77 zapłacono, zaś 221 par nieoddano, ani za takowe zapłacono. Spis ubitej zwierzyny podało tylko 20 członków, z tych pięciu nic nie ubiło, a 15 ubiło na obszarach do Towarzystwa należących: chruścieli 61, dubeltów 64, kszyków 47, przepiórek 218, gołębia 1, kaczek 49, kulików 15, kureczek 73, kuropatw 12, słonek 14, zajęcy 99, kotów 4; razem 658 sztuk. Dziewiętnastu członków nie podało żadnego spisu, z tych jest prawdopodobnie 12, którzy nic nie ubili, brakuje więc spisu właściwie od siedmiu byłych członków.

Co do wkładek zaległość wynosi do końca r. 1884	15 złr.	— ct.
Dochód rzeczywisty w roku 1884	313 „	70 „
Rozchód w roku 1884 . . .	168 „	15 „
Pozostałość	145 złr.	55 ct.

przenosi się w przychód na rok 1885.

Po złożeniu niniejszego sprawozdania Wydziału, Ogólne zgromadzenie uchwaliło większością głosów na rok 1885:

a) podnieść miesięczną wkładkę z 50 ct. na 1 złr;

b) podwyższyć opłatę od ptaków drapieżnych z 5 na 10 centów;

c) ustanowić, że członkom wolno luźnie polować do końca września dwa razy w tygodniu, a od 1. Października do końca Grudnia tylko raz w tygodniu.

Nakoniec przystąpiono do wyboru Wydziału na rok 1885. Wybrano: prezesem p. Honorata Sendzimira, zastępcą prezesa księdza Ryszarda Łabaya: wydziałowymi: p. Wilhelma Szaprowskiego, p. Waleryana Krycińskiego i p. Ludwika Smozę; zastępcami wydziałowych pp. Jana Kleskiego i Emila Kropaczka.

Zapewne z powodu podwyższenia wkładek a zarazem ograniczenia prawa polowania wpisało się dotychczas na rok 1885 tylko 29 członków.

Kołomyja 7. Lutego 1885.

Jatwięgi 17. Lutego.

Już od Maja r. z. widywałem srokę, różniącą się niezwykłą barwą swych piór od innych. Ile razy wyszedłem z bronią, nigdy jej nie spotykałem, jeśli zaś z laską, to nasuwała się moim oczom i mogłem zauważyć, że nie była przez sroki pospolite lubianą, owszem nieustannie ją prześladowały. Ponieważ ostatecznie padła ofiarą mego strzału, przesyłam ją w darze do Muzeum im. Dzieduszyckich, sądząc, iż z powodu oryginalnej barwy swych piór powinna po śmierci otrzymać kącik spokojny między innemi swego rodu. — W roku bieżącym nie polowałem u siebie ani w Jatwięgach, ani w Chliplach, gdyż zwierzyna przez słoty i wylewy przepołowioną prawie została. Zamiast strzelać ją, rozwożę koniczynę i otawę po tryzubach, odnawiam lizawki i rozstawiam snopami owies. Mimo tego często znajduję nieżywe sarny, jak się przy obdukcyi okazuje, zamotyliczone. Dziki jawią się często przechodnie, tropienie ich

dla braku śniegu niemożliwe, zostaną na rok przyszły, a natomiast kartofle i owsy będą odpowiadać. *Dyonizy Pogłodowski.*

P. R. W imieniu Muzeum Dzieduszyckich składamy za dar łaskawy szczerą podziękę.

W Kwietniu b. r. otwartą będzie w Wiedniu Wystawa psów, mianowicie 5., 6. i 7. psów łowieckich, 10., 11. i 12. psów innych, w wszystkich zaś sześciu dniach produktów przemysłu, sztuki i literatury do tego działu się odnoszących.

Stanisławów 2. Lutego.

Dnia 25. Stycznia polowano w Słobódce leśnej, pow. Kołomyjskim, majętności p. Piwki i ubito: 3 dziki, 3 rogacze, 2 zające i 1 żbika, ostatni rzadkiej wielkości i piękności. Brano cztery mioty, we wszystkich strzelano do dzików, wychodzących bądź pojedynczo, bądź po kilkanaście sztuk naraz. Gościnność i uprzejmość gospodarza przyczyniły się wiele do uprzyjemnienia polowania, które tylko z powodu mniej celnego strzelania myśliwych nie wypadło tak świetnie, jak zwykle. *Filous.*

Ułaszkowce.

19. Grudnia ubito między innymi kozła (trzeciaka) z czarnem lustrem. Obecni starzy myśliwi nie przypominali sobie spotkania się z podobną dekoracyą u sarn. *R.*

Byszów 11. Lutego.

Jeżeli gdzie mniej rachują się z przepisami Ustawy łowieckiej, to pewnie tu w naszym zakątku, gdzie stosunki i samo położenie daje pole do popisów kłusownikom, a odnośnym władzom do przymykania oczu na dziejące się bezprawia i niszczenie zwierzostanu. Od północy ciągnie się granica rosyjska, gdzie nie ma mowy o szanowaniu sarn, tem mniej o zaprzestaniu strzelania do zajęcy od 1. Lutego, w około zaś od strony galicyjskiej są właściciele ziemscy, którym bądź nie idzie o podniesienie zwierzostanu, bądź też nie mieszkając w majątku swym trzymają rządców, którzy pozwalają hulać kłusownikom i sami przyczyniają się do tępienia pożytecznej zwierzyny. Że tak w istocie się dzieje, mógłbym liczne przytoczyć przykłady, nie chcąc jednak dotykać osobistości, przytoczę dwa wypadki. Od północy łączy się mój las z lasem Wołyńskim, otóż straż rosyjska, pilnująca granicy, skoro ujrzy sarny przechodzące z mego lasu w rosyjski, daje znać wachmistrzowi, który urządza naprędce polowanie, a że nieźle strzela, więc polska sarna za śmiałość przekroczenia granicy daje swe życie w ofierze; tak ubił p. wachmistrz przed kilku dniami dwie kozy na samym pasie neutralnym. Drugi wypadek był taki. Najbliższy mój sąsiad od strony północno-wschodniej, posyłał niedawno pocztą do Lwowa dwa kozły, a że urząd pocztowy wymaga obszywania zwierzyny w płótno, więc przebiegły syn Izraela, trzymając się ściśle przepisu, porąbał mniemane kozły w kawałki i w tym stanie w worku przesłał je na miejsce przeznaczenia. Dlaczego to uczynił, nie wiem, posądzać nie chcę, podaję fakt. Skreśliwszy pożałowania godny stan naszych stosunków, mam nadzieję, że Szan. Tow. łow. raczy nasz zakątek w szczególniejszą wziąć opiekę, bo jeżeli tak dalej pójdzie, to *utinam falsus sim vates*, sarna u nas należeć będzie do tradycyi.

Juljusz hr. Tarnowski.

Wielkim był wielbicielem św. Huberta ś. p. Adam Hoszowski, który namiętnie polował nie tylko w własnych kniejach, ale też w dzierżawionych kameralnych. Później przeniósł się na mieszkanie do Lwowa nabywszy piękną wilę na Zielonem, lecz i ztamtąd częste robił myśliwskie wycieczki. Zazdrośny o każdy strzał, szczególnie trafny, nie lubił on polować w towarzystwie, rzadko więc kogo na łowy zapraszał. Polował tylko z służącym swoim Grzegorzem w ten sposób, że na skrzydłach kazał ustawić biało-czerwone chorągiewki, sam zaś z Grzegorzem zajmował w środku stanowisko. Gdy nagonka się odezwała, zwierz przerażony chorągiewkami rzucał się w środek, i tak dwaj myśliwi zawsze prawie obfitym cieszyli się łupem. Znając mnie jako dobrego myśliwego i wiedząc, że posiadam wyborne psy, a między nimi dowodne jamniki, zaprosił mnie raz na „talerz rosołu" i zaproponował, ażalibym mu nie sprzedał owe jamniki. Żądałem 100, on dawał 80 złr., jakoś nie dobiliśmy targu, a w końcu Hoszowski rzekł: pamiętaj, że każda „przepłacona rzecz nikomu na dobre nie wychodzi". Nie zważałem na te złej wróżby słowa, ale niestety ziściły się, w przeciągu dwóch tygodni jamniki poparzone ukropem pozdychały. Przytoczę tu też wydarzenie, jakie miał Hoszowski z niedźwiedziem w Samborskiem, opowiadane przez jego sługę Grzegorza. „Otropiłem raz ogromnego niedźwiedzia, więc wybraliśmy się niezwłocznie na niego. Zajęliśmy stanowisko, a flanki obstawione były jak zwykle chorągiewkami. Na odgłos trąbki rusza nagonka. a po chwili słyszę strzał jeden i drugi, wreszcie cisza zaległa, tylko nagonka się odzywa. Zaniepokojony porzucam stanowisko i biegnę ku memu panu. Zbliżywszy się, widzę z przerażeniem pana leżącego twarzą na ziemi, a na nim niedźwiedzia, który usłyszawszy ludzkie kroki zwrócił swój wzrok ku mnie. Nie wahając się posłałem mu dwie kule w komorę, niedźwiedź ryknąwszy straszliwie runął martwy na ziemię, a mój pan śmiertelnie blady podniósł się zupełnie zdrów, skarząc się tylko na krzyże, które mu niedźwiedź swoim ciężarem przygniótł, i za to nazywa mnie pan swoim wybawcą". Tu łza stoczyła się z oka Grzegorza.

P. Sauschek, em. nadleśniczy.

Wasylówka (Ukraina).

Próbując różnych strzałów, sprawiających myśliwemu zadowolenie, doświadczyłem, że strzał do nietoperza, lubo niezbyt trudny, lecz przy szarym, wieczornym zmroku jest bardzo przyjemny, zwłaszcza w porze, gdy strzelby wiszą na kołkach, a myśliwi z niecierpliwością wyczekują pory polowania. Podając ową praktykowaną przezemnie przyjemność, mam nadzieję, iż będzie nią także dla myśliwych, którzy jej użyć zechcą, Przeloty nietoperzy odbywają się w czystem polu przy urwiskach, przy błotach lub wodach. Przelot taki trwa nie dłużej jak pół godziny i wtedy można strzelać kilkanaście razy. W kilku myśliwych stanąwszy w upatrzonem miejscu idą strzały emulacyjne i wielką sprawiają przyjemność, do tego stopnia, że strzał do kszyka na wiosnę ustępują powyższym. Tygodniami codziennie urządzałem sąsiadom taką zabawkę, i każdy z ferworem prawdziwego myśliwego tem się bawił. Podaję ów projekt kolegom myśliwym na czas łowieckiego próżnowania, radzę spróbować, a jestem pewny, że im prawdziwą przyjemność tem sprawię.

Antoni z Rokszyc Zapolski.

Do licznych sprawozdań z odbytych polowań, umieszczanych w „Łowcu", a świadczących o postępie myśliwstwa, dołączam niniejsze z polowania w Torskiem dnia 22. Stycznia b. r., na którem w trzech godzinach w 10 strzelb ubito ośmdziesiąt kilka zajęcy i 2 lisy. Osiągnięto tak piękny rezultat, chociaż właściciel z powodu choroby sam nie mógł prowadzić polowania, i pudłowaliśmy fatalnie. Polując kilka dni przedtem w tej samej miejscowości w przyległej kniei w 4 strzelby zabiliśmy 5 kozłów, 2 lisy i dwadzieścia kilka zajęcy Nadmienić też winienem, że w okolicy mego zamieszkania nad Dniestrem między Jazłowcem a Uścieczkiem w ostatnich kilku latach rozmnożyły się bardzo dziki, a kilka zim bez śniegu są powodem, że poluje się na nie bez skutku. Z niecierpliwością oczekujemy śniegu, by lepszy uzyskać rezultat. *T. C.*

Sprawy łowieckie. Chociaż przepisy ograniczające czas polowania ochraniają zwierzynę w porze mnożenia się takowej, jednakże w sferach kompetentnych uznano, że czas zakazu jest jeszcze za krótki, skutkiem czego opracowuje się projekt, według którego polowanie w niektórych guberniach będzie się mogło zaczynać nie wcześniej, jak w połowie Września, a kończyć w ostatnich dniach roku nowego stylu.

Korespondent Płocki.

W lasach margrabiego Wielopolskiego w gub. Kieleckiej polowano w końcu Listopada przez trzy dni, padły: 4 rogacze, 3 lisy, 220 zajęcy. Następnie odbyło się polowanie w Gorach, zabito 1 rogacza, 1 lisa, 137 zajęcy. Myśliwych było 10, polowanie prowadzono wzorowo.

„Gazeta Warsz."

Prawdziwą osobliwość w naszych stronach upolował p. Ekhard, właściciel Będkowa w ziemi Łęczyckiej, orła, którego skrzydło ma 4 łokcie długości. Okaz ten przesłano do gabinetu hist. nat. w Łodzi.

„Gazeta Warsz."

Kronika myśliwska zapisuje tymi czasy kilka znacznych polowań. W Bereznie, majątku p. Podhorskiego w Skwirskiem (Ukraina), było jedno z takich, jakie dziś trafiają się już rzadko — z nagonką i sieciami, więc trofeami prócz poległych byli i jeńcy. Grono 40 myśliwych z użyciem 250 ludzi do nagonki, upolowało: 2 dziki, 11 wilków, 18 rogaczy, 3 kozy, 22 lisów, a w sieci ujęto 40 sarn. Odznaczały się też i damy, jedna własnoręcznie zastrzeliła wilka i lisa, druga dwa lisy. Jak widzimy polowanie było w lepszym stylu, w drobiazg się nie bawiono. Koło Warszawy były także dwa większe polowania, jedno w lasach Brudzińskich na prawym brzegu Wisły, trwało 3 dni i przyniosło: 2 dziki,

17 sarn, 120 zajęcy i paręset ptactwa. Na drugiem w lasach Wilanowskich upolowano: 4 dziki, 3 kozy, 2 lisy i kilkanaście sztuk drobniejszej zwierzyny. Odznaczył się pan W. L., który zastrzelił dubletem maciorę i warchlaka. — Skromny był rezultat polowania w Matlicy, pow. Włodawskim d. 10. i 11. grudnia, gdzie przez te dwa dni upolowano: 2 rogacze, 3 lisy i kilkanaście sztuk drobnej zwierzyny. Ale w tamtejszych lasach gospodarują kłusownicy. „Gazeta rolnicza“.

Z nad Sanu.

Niech łaskawy czytelnik nie weźmie wydarzenia, które opisuję, za humbug amerykański, jest ono prawdziwem. Gdy padł śnieg łokciowy w Listopadzie ubiegłego roku, zmuszone były dzikie zwierzęta, jak wilki i rysie, szukać żeru w pobliżu wsi, a często nawet napadać chlewy i obory wieśniacze. Przy drodze, wiodącej z Rajskich do Tworylnego, stoi nie wielka karczemka zdala od wsi. Arendarz żydowskim obyczajem trzyma dość liczną trzodę kóz. Pewnej nocy wszczął się w chlewie kozim tumult i choralne beczenie całej trzody. Arendarz mniemając, że człowiek jaki się wkradł, lub może wilki dobrały się do chlewu, zbudziwszy stróża, sam uzbrojony w siekierę, wpadli do chlewu, przeszukali wszystkie kąty, lecz nic nie znaleźli. Gdy rozświtało, donosi żydowi stróż, że w trzodzie brakuje jednego koźlęcia. W następnej nocy niemniejszy tumult i beczenie wszczynają się w chlewie. Tym razem kto żyw uzbroił się w co mógł i wyruszył na zagadkowego szkodnika. Długo szukano go napróżno, wreszcie ujrzano w ciemnym kącie pod jasełkami fosforyczne światło oczów jakiegoś zwierzęcia. Arendarz jako dowódzca wyprawy z latarnią w ręku, komenderuje do ataku, czoło kolumny stanowił stróż z widłami żelaznemi, za nim dziewka, a nieco oddaleni synowie Izraela. Jednym susem wyskoczył uderzony widłami nieprzyjaciel — żbik. Poczęła się szalona gonitwa za nim, uganiającym i prychającym po chlewie. Żyd przypadkiem czy ze strachu upuścił latarnię, zagasło światło i egipskie zaległy ciemności. Żydzi pouciekali do izby a żbik wymknął się dziurą w powale, którą się też dostał do budynku. Koźlę ułowione pierwszej nocy znaleziono na powale karczemnej, w małej zaledwo części pożarte. Żbiki bardzo lubią świeży i ciepły jeszcze żer, nieświeże mięso lub padlinę żrą tylko w ostateczności. *W. T.*

Ze wszystkich polowań, w których brałem udział, palma pierwszeństwa należy się polowaniu u mego kuzyna Włodzimirza Niezabitowskiego w „Ubercach Niezabitowskich“. Na 200 morgach w trzech kawałkach ubito w 6 strzelb w 4 godzinach 9 zajęcy, 11 lisów i 1 rogacza. Żadnego lisa nieprzepuszczono. *Alfred Wojczyński.*

Gdzie i kiedy się zdarzyło, kto działał, tego nie powiem, to bowiem nie jest niezbędnie potrzebnem. Straż leśna dodnia obtropiła stadko dzików, jedziemy więc, a był to dzień pięknej ponowy, dzień bezwietrzny po spokojnej nocy. W kniei tropy zwierzyny jakby dłutem w Kararyjskim marmurze wyryte, kilkunastu chłopców nagonki i kilka swor psów wysłano naprzód w celu zajęcia miotu, nas rozstawił kierownik w zupełnej ciszy według wyciągniętych numerów na linii leśnej. W plecach mieliśmy las wysokopienny wspaniały porostem zapustu młodej dębiny i buczyny, zaciemniający wszelki widok gęstym, oschłym liściem i zwartością gałęzi. Każdy niemal myśliwy stał na tropach dzików. Pogonka na dane hasło ruszyła gwarnie i hałaśliwie, po chwili padł strzał na linii pogonki. Zgraja psów podłożona na tropy goni, ściga, osadza, naszczekuje, wszczyna się piekielna wrzawa i głosy pogonki „dyk, dyk“ zwiastują nam, iż oczekiwany gość w miocie się znajduje. Gon psów idzie stanowczo ku linii strzelców, krew gwałtownie w żyłach krążyć poczyna, oko łzą zachodzi z wytężenia w celu przejrzenia ciemności gąszczu, gon zbliża się i pada strzał, patrzę w stronę mego sąsiada, on mierzy i strzela po raz drugi, a gdy z gorączkową szybkością zmienia naboje, prawie u nóg jego wyłazi z gąszczu z pokorną miną, z uszami zwieszonemi, szary, domowy świntuch, któremu lotka się dostała, i psy mu uda pogryzły. Myśliwi opuszczają stanowiska, aby corychlej dowiedzieć się o wyniku strzałów i oglądać trupy, gwar bowiem nagonki w miejscu strzałów, kwik świń każą wnosić, że skutek strzałów przyniósł niezwykłą zdobycz. Zebrawszy się w miejscu strzałów zastajemy dwa dogorywające świntuchy a psy oblizują juchę i dobierają się im do mięsa. Myśliwy tłumaczy się, opowiada, jak się stało, jak psy atakowały, jak świnie gąszczem szły, jak strzelał, słowem wszystko, co się do tej nieszczęsnej pomyłki przyczyniło. Głównym zaś powodem tej pomyłki było, że ów młody myśliwy zabiłbył przed kilku dniami dużego odyńca krasego, więc mniemał, że i szare być mogą. Świnie postrzelane należały do leśniczego sąsiednich rewirów, wyszły do lasu na żerowanie żołędzią.

Przechodzę do innego zdarzenia również prawdziwego. Polowaliśmy w kilka strzelb na zielonej stopie, na dziki, po kilku nieudanych miotach zajęliśmy miot gęstych krzaków karłowatej grabiny i leszczyny, chmielem i różnymi chwastami gęsto zarosłych. Krzaków tych było kilka morgów podłużnie się ciągnących pośród pól, uprawnych zbożem i kukurudzą, w pobliżu wsi położonych. Stałem na ostatnim wąskim cyplu tych krzaków, i kiedy pogonka do ich połowy doszła, usłyszałem przed sobą rechtanie maciory i warchlaków, które się nie pokazały. Pogonka przegoniła krzaki i wyszła na linję strzelców. Pewny, że dziki w krzakach pozostały poleciłem kilku chłopcom z pogonki, by powtórnie cypel krzaków zajęli i do mnie gonili, co też oni natychmiast uczynili. Po chwili krzyk i wrzawa zawiadomiły mnie, że dziki są, wnet też wypada na pięć kroków odemnie maciora, strzeliłem na połeć raz i drugi, a locha już nie w susach, lecz powolnym krokiem przeszła przez stanowisko mego sąsiada i wróciła znowu do krzaków i po jego dwóch strzałach powaliła się i została. Reszta dzików poszła na pogonkę i wymknęła się bokiem. Oględziny trupa wykazały, że moje dwa strzały kulami przeszły na wylot w okolicy komory i były śmiertelnymi, strzał zaś sąsiada odbił losze racicę. Po powrocie z polowania jeden z myśliwych twierdzi, że moje strzały nie były śmiertelnymi, kiedy na kroków pięć na miejscu zwierza nie położyły. Za dni kilka polowaliśmy znowu na dziki, duży odyniec wypadł na młodego, ale dobrego strzelca p. S. na kroków kilka, strzelił on na połeć, drugi strzał był niemożliwy z powodu psów, które odyńcowi na racicach siedziały, dzik poszedł, ale po chwili psy ucięły, bo odyniec rozłożył się w oddaleniu może 60 kroków. Okazało się, że dostał strzał w samą komorę kulą. Przy sekcyi wyjęliśmy serce dzika rozszarpane jako *corpus delicti* stwierdzający, że i taki strzał nie kładzie dzika na miejscu, co też wreszcie niewiernego Tomasza, a oponenta mego, dostatecznie przekonało. *S. M.*

W miesiącu Marcu pozwala Ustawa strzelać do słonek, bażantów i kuropatw, dropi i pardw, do ptactwa wodnego i błotnego.

Redaktor: **Józef Łoziński.** Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

I. Związkowa Drukarnia we Lwowie.